BIBLIOTEKA
W GDAŃSKU

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

T. MURAS — Gazetki wiejskie — orężem socjalistycznej opinii
J. MACIEJEWSKI — Reportaże o spółdzielniach Z. NOWICKI — Dzień lęku
J. STAWIŃSKI — Wyrok przekreślający konstytucję B. KOGUT — Na wygonie
Z. RZEPLIŃSKA — Drogi upadku i ocalenia Z. KUBALSKI — Pożar
T. SZEWERA — Biblioteka w rodzinnym miasteczku L. Rudnickiego
L. MAJ — Co znaczy dla nas prasa i książka S. SKONECZNY — Do więzienia
S. CIEŚLAK — O trafną i żartliwą publicystykę gospodarczą

Rok IX

Warszawa, dn. 18. V. 1952 r.

Nr 20 (354)

„Więcej ekonomiki. Ale ekonomiki nie w sensie „ogólnych" rozważań, uczonych przeglądów, inteligenckich planów itp. Nie, ekonomika jest nam potrzebna w sensie zbierania, skrupulatnego sprawdzania i zgłębienia faktów rzeczywistego budownictwa naszego życia". **LENIN**

Zamieszczamy poniżej dwa reportaże o pracach melioracyjnych i zagospodarowaniu wielkich obszarów łąkowych. Wydobycie z topieli włodawskiego powiatu to niemała sprawa w województwie lubelskim, podobnie jak nie lada sprawą staje się w Bydgoskiem melioracja doliny Noteci. Ale reportaże Głowackiego i Gancarz nie powstały wyłącznie na zasadzie korespondencji wojewódzkiej. I nie odpowiadają tylko na pytania: co nowego na Lubelszczyźnie? Co nowego w Bydgoskiem? Dużo jest nowych prac i w Bydgoskiem i w Lubelskiem w zakresie socjalistycznego budownictwa tej samej miary a nawet większej od włodawskich i nadnoteckich melioracji.

Reportaże konkretyzują na przykładach dwu województw nowe w skali krajowej. Dostrzegli je pisarze w Lubelskiem i Bydgoskiem, jak dostrzec można je już w każdym innym województwie. Rusza naprzód jedna z potężnych dźwigni rozwoju i przebudowy rolnictwa — sprawa bazy paszowej. Gancarz i Głowacki dotarli do miejsca wielkich robót melioracyjnych i z mniejszym czy z większym powodzeniem ukazują w zebranych faktach nowe fundamenty rozwoju naszej gospodarki hodowlanej.

Wydobyć powiat włodawski z topieli — zamienić stęp w dolinie Noteci na kobierzec łąk urodzajnych — to oczywisty i nowy fundament. Były na dziesiątkach tysięcy hektarów bagna albo stepy — będą plantacje łąkowe. Wielkie dotąd przestrzenie ugorowe ożywi życiodajna przyroda. W krainy zamarłe, puste i bezużyteczne wtargną kanały, obwałowania, rowy, zbiorniki i śluzy. Już wchodzą na te zalewy i stepy dziesiątki tysięcy ludzi, uzbrojonych w wielkie a szczegółowo opracowane plany melioracji, uzbrojonych w maszyny i zapał do pracy i — co stanowi o celu tych wielkich robót — dziesiątki tysięcy okolicznych chłopów staje do pracy z decyzją jasno sformułowanej przyszłości. Na uzdrowionej ziemi założą zrzeszenia uprawy łąk. Do „skolonizowania" zalewów i stepów idą pod hasłem spółdzielczości. Dyktuje ją sama logika sytuacji — wielkich przestrzeni paszowych.

Otóż w tym odsłania się nowy fundament dla gospodarki hodowlanej w całym kraju. Cztery miliony łąk i pastwisk, rozproszonych na chłopskich parcelach choć nie stoją pod zalewem ani nie są obrócone w step — stanowią jednak gospodarkę prawie naturalną.

Są zaniedbane, nieuprawiane i w hierarchii indywidualnej gospodarki rolnej zepchnięte siłą fatalną drobnotowarowej produkcji. Tam gdzie powstała spółdzielnia produkcyjna chłopi naocznie widzą, że gdy u siebie na bazę paszową przeznaczyć mogą 5 proc. obszaru, spółdzielnia 15—18 proc.

Tak wielkie roboty melioracyjne jak na „włodawskim polesiu", jak w dolinie Noteci, otwierają perspektywę nie tylko na rozwiązanie problemu bezużytecznych dotąd stepów i bagien, otwierają również oczy na wielkie nieużytki indywidualnych łąk chłopskich, na niewykorzystane w tej postaci i w tych warunkach olbrzymie w skali całego kraju rezerwy produkcji rolnej. Otwierają oczy na doniosłość bazy paszowej i na nowy fundament jej rozwoju.

Pisarz i publicysta okazuje słuszną czujność i spostrzegawczość, kiedy jedzie na „włodawskie polesie", kiedy jedzie w dolinę Noteci.

Rozpoczęły się tam nie tylko wielkie roboty melioracyjne. Tam wyrastają wielkie przykłady i wzory tak zmian w bazie jak przez nie w ludziach. Obraz i kierunek tych zmian ma wielką wymowę ideologiczną. Sprawa bazy paszowej ukazuje nową dźwignię rozwoju spółdzielczości, ukazuje nowe źródło i nowy proces przemian w chłopstwie.

Zebrać, skrupulatnie sprawdzić i zgłębić te fakty rzeczywistego budownictwa naszego nowego życia na wsi — *to jedno z ważnych aktualnie zadań agitacyjnych pisarza i publicysty.*

Redakcja

OLGA GANCARZ

Sprawa bazy paszowej

NA „WŁODAWSKIM POLESIU"

Malował Julian Fałat

Latem odbywały się sianokosy, ale jakież to były sianokosy! Mężczyźni grzęźli w błocie po kolana, a trawę trzeba było wynosić na drągach. Kobiety nakładały wtedy grube, wełniane pończochy i chodaki, aby nie pokaleczyć nóg o ostrą trawę i dźwigały razem z kosiarzami mokre bierwiona. Do zimy nikt nie wywoził siana z włodawskich topieli, bo wóz razem z końmi zostałby w bagnie. Stawiali więc kryte szuwarem stodółki i tam składali swoje zapasy aż do czasu, kiedy mróz ścinał w twardą skorupę miazgi grunt.

W łęgowych lasach, otaczających półkolem zalewane wiosną i jesienią topieliska, wyrastały na tysiącach kopczyków czarniawe olchy, piły wodę z gruntu i wypić nie mogły, tyle jej było. Z rzadka bielił się w nich pień brzózki, bo nawet ona, niewybredna, nie mogła wyciągnąć z tych zalewów pokarmu do życia. Na setkach hektarów rozciągały się tędy lasami mokre torfowiska albo dziwne pola kretowisk. Jeśli ktoś przyjrzał się im bliżej, dostrzegał łatwo, że to nie kret sypał kopce, ale chłop próbował uprawy sapowatej ziemi. Próbował, aby porzucić wkrótce jałowe skiby, które zalewała woda, pozostawiając po sobie martwe pola, omijane nawet przez turzycę.

„Smutna ziemia", „włodawskie polesie", na którym chłop znad Zielawy uparcie próbował różnych sposobów. Kopał kręte rowy — i to nie pomagało. Spadek wody istniał bowiem w tym dorzeczu jedynie na mapie, coż tu znaczyło 10 cm na 1 km, znaczonych przez kartografów.

Narzekano w rzadko rozrzuconych wioskach na biedę i słuchano tępo opowiadań o urodzajnych stronach na południu Lubelszczyzny, gdzie ziemia, nawet łopatą poruszona, sypie grubym ziarnem z ciężkich kłosów. Słuchał tego jak baśni włodawski chłop i trzymał się nadal kurczowo błotnistych zalewisk i wąziutkich zagonów. Zacofanie i bierność w odciętych przez pół roku od świata wioskach podtrzymywały swoistą, chłopską teorię bezsilności. Podtrzymywał ją wszelkimi sposobami obszarnik sanacyjny.

Dlatego na tej smutnej ziemi krzewiły się bujniej, niż gdzie indziej, chwasty reakcyjnego podziemia. Wróg jak pająk zaszywał się w najodleglejsze kąty. W powiecie włodawskim jeszcze dwa lata temu strach bielił chłopskie twarze na dźwięk słowa „Żelazny". Ten zdziczały niedobitek płatnego przez imperialistów podziemia, znaczył mordem i rabunkiem swoje ścieżki nawet w tych jeszcze czasach, kiedy rosła nowa, piękna Warszawa, kiedy nocą płonęły już łuną piece „Częstochowy", kiedy dymiły kominy Chorzowa. I nie było przypadkiem, że bandyta zamordował kierownika Wydziału Budowy Osiedli Wiejskich — tow. Czugałę oraz przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej.

Był to strzał, wymierzony w nowe życie na „smutnej ziemi" dotąd, w nowe życie na „włodawskim polesiu".

*

Na włodawskich drogach kładły dyle wojska austriackie i niemieckie podczas pierwszej wojny światowej. Spieszno było cesarskim armiom na urodzajną Ukrainę. Tą samą drogą jechał przed wojskami niemieckimi chłop Makówka z Kodeńca, ewakuowany wraz z rodziną do gubernii saratowskiej.

Gdy nadeszły chmurne i górne dni walki proletariatu radzieckiego o wolność i sprawiedliwość, Makówka nie pozostał na uboczu — wstąpił do Komsomołu i bił się razem z żołnierzem radzieckim. Boje te stały się dla niego wielką szkołą, w której nauczył się odróżniać wroga chłopskiego od sprzymierzeńca. Wrócił do Kodeńca dopiero w 1922 roku, już po stłumieniu walk prowadzonych we Włodawie przez zrewolucjonizowanych robotników i chłopów. Wystraszeni obszarnicy sprowadzili wtedy dla ochrony swoich majątków wojsko.

Niesprawiedliwość społeczna była zbyt wielka na Lubelszczyźnie — w województwie wielkich obszarników i dwumorgowych gospodarstw. Nazwisko Makówki już po roku znalazło się na listach tropionych kapepowców. Nie odstraszył go nawet wyrok skazujący na 5 lat więzienia (w Siedlcach). Po zwolnieniu Makówki powstają we Włodawskiem jedno za drugim ogniwa KZM i MOPR-u. W Kodeńcu Makówka organizuje cały sztab rewolucyjny, mnożą się odezwy demaskujące podstępne poczynania rządu sanacyjnego, który starał się pogłębić sprzeczności na tle wyznań religijnych, organizował sieć szpiegów i prowokatorów, i podsycał nacjonalizm ukraiński.

W lipcu 1930 odbywa się we Włodawskiem wielka manifestacja robotniczo-chłopska, w czasie której zostaje ujęty Makówka. Od wyroku i więzienia ratuje go siostra Natalia, wyłamując razem ze Stefanem Łuciem zamek w drzwiach gminnego aresztu w Krzywowierzbie.

Ostatnie lata działalności Makówki — to praca w KC, udział w zjeździe berlińskim 1931 roku i robota organizacyjna w województwie lwowskim, dokąd skierowała go KPP. Padł na posterunku, od kuli policjanta, zaskoczony na konferencji partyjnej.

Padł Makówka, ale pozostali towarzysze. Wielu z nich opuściło więzienia dopiero pamiętnego września 1939 roku. Zakładają podziemną organizację dla zwalczania okupanta, a później łączą się z Armią Ludową.

Hitlerowców przepędziła Armia Radziecka, pozostał jednak we włodawskim powiecie drugi wróg — faszystowskie podziemie. Bandy Żelaznego i kamratów posłały niejednemu z towarzyszy bratobójczą kulę zza węgła.

Powstanie spółdzielni produkcyjnej w Kodeńcu, pierwszej w powiecie włodawskim, było pośmiertnym zwycięstwem Makówki. Nazwano ją jego imieniem. W dorzeczu Zielawy zaczęto po raz pierwszy gospodarować inaczej. W chłopskich chatach zaświeciła żarówka a na polach zagrały traktory. Zbudowali dwie wielkie kryte eternitem obory i magazyn. Stanowią one zaczątek wielkiej gospodarki, albowiem w Kodeńcu stanie takich obór siedem dla 300 sztuk rasowego bydła i stada owiec karakułowych.

Tą samą drogą poszło Hołówno, potem Zahajki, Wyhalew, Lipówka, Krzywowierzba i kilka innych wsi. W dorzeczu Zielawy rozrasta się wielka kolonia spółdzielczości produkcyjnej. Ale choć wprowadzano nowe formy gospodarki w zbożowych i okopowych — turzyca panoszyła się nadal na mokrych łąkach a wiatr marszczył jak przed laty powierzchnię czerwonawej wody w starych rowach i rozległych zalewach.

*

Przed dwoma laty przyniósł pastuch do wsi nowinę. Nad Zielawą pojawiły się cudaczne maszyny. Obcy ludzie układają tor a dźwigi kopaczek czerpią błoto z dna rzeki.

Słowo „melioracja" powtarzać zaczęto w Opolu, Podedwórzu, Paszenkach i innych wioskach.

— Iiii... dużo to pomoże. Tutaj woda stoi setki lat. Sołtys w Paszenkach ma plan jeszcze jak był Napoleon i takie same na niej w roku 1812 oznaczył geometra bagna...

A tymczasem po moczarach wędrowali ludzie w wysokich gumowych butach. Dźwigali z miejsca na miejsce przyrządy, mierzyli, notowali. Kępa za kępą, torfowisko za torfowiskiem, rów za rowem, las za lasem wypełniały coraz gęściej szczegółowe plany, rosła przestrzeń pomiarów.

Przy kopaczkach zaczęli pracować Feliks Król i Stanisław Kiryk z Horodyszcza. Nauczyli się nie tylko obsługi maszyn, usprawnili nawet pracę, zaprzęgając dźwigi do przenoszenia szyn, które przedtem układali ludzie. Bieg Zielawy prostował się, dno opadało niżej a podnosił się brzeg.

Mieli już poza sobą 11 kilometrów, kiedy nastała susza. Na torfowiskach pod Paszenką zaczęły się ścielić jednego wieczoru dymy. Wiatr roznosił po okolicy duszący, nieprzyjemny odór.

— Torf się pali.

Nieostrożny pastuch zapalił ognisko w wypróchniałym pniu, ściętej dawno olchy i nie zagasił. Nocami nad torfowiskiem żarzyła się łuna a duszący dym

Foto J. K. Maciejewski

wciskał się szparami do chalup. Od torfu zapalały się stogi siana i oświetlały smutną równinę olbrzymimi pochodniami. Służba melioracyjna zebrała chłopów do kopania rowów. Ogień udało się umiejscowić dopiero po kilku tygodniach. 300 ha torfowiska zamieniło się tego lata w popiół, którego nie porasta nawet turzyca. Zimą w kilku wioskach zabrakło dla chudych krów mizernego siana. Ale nie zabrakło pomocy ze strony państwa.

*

Gdy kreślarz przeciągnął ostatnią linię w skomplikowanej sieci rowów na szczegółowym planie melioracji dorzecza Zielawy, nad mokradłami trzepotała już ciężkimi skrzydłami czajka, a wysoko nad nią płynęła mała eskadra bekasów — znak nieomylny zbliżającej się wiosny. Urzędnicy Gminnej Rady Narodowej w Opolu-Podedwórzu nabrali większego wigoru. Telefonogram z Lublina zapowiadał przyjazd inżyniera z planami, do których miał prawo wglądu każdy chłop.

Oglądali te plany chłopi, ciekawi co wymyślili inżynierowie. Przyjezdny tłumaczył i odpowiadał na pytania.

Dowiedzieli się więc, że dorzecze Zielawy obejmuje 10 tysięcy hektarów ziemi, z której nie odpływa woda ze względu na minimalny spadek. Grunty są tutaj przeważnie lekkie, bielice albo piaszczyste a podłoże mają gliniaste, wskutek czego nagromadzona w zimie woda nie może wsiąkać głęboko w ziemię. Uniemożliwia to gromadzenie się większych zapasów wilgoci w glebie i powoduje wiosną i jesienią zalewy na całym obszarze. W lecie wody parują i nie starcza wilgoci dla roślinności. W takich warunkach powstają olbrzymie bagna.

Obszar nad Zielawą zamieni się po zmeliorowaniu i zagospodarowaniu łąk w wielką bazę paszową, dostarczającą rocznie około ¾ miliona kwintali siana ze szlachetnych gatunków traw. Przedtem trzeba jednak uregulować 25 km brzegów Zielawy, założyć w najniżej położonych okolicach dwa zbiorniki wodne o powierzchni 350 i 150 ha przez usypanie wokół wyznaczonego terenu wału wysokości 3 metrów. Niezależnie od tego należy wykopać sieć kanałów odwadniających i wybudować na Zielawie kilka śluz i jazów dla regulacji dopływu i odpływu wody. Przez racjonalną gospodarkę wodną uzyska się 2 tysiące ha ziemi ornej, tysiąc ha gruntu pod zalesienie oraz 6,5 tysiąca ha łąk, które dostarczą w pierwszych latach po zagospodarowaniu po 100 kwintali z hektara. Licząc kwintal po 100 złotych, zbiór ten przyniesie rocznie siano wartości 65 milionów złotych.

Dla stałego zapewnienia dorzeczu Zielawy zapasów wody, której bujniejsza roślinność będzie potrzebowała więcej, zaprojektowano budowę kanału Wieprz — Zielawa długości 65 km. Poziom wody na Wieprzu jest wyższy o 16 metrów, można będzie więc każdej wiosny zalewać łąki. Woda z Wieprza ma na wiosnę kolor kawy od rozpuszczonych lesów, osadzi więc żyzny muł na bielicach i spłynie oczyszczona do zbiorników. W ten sposób zdobędzie się doskonały nawóz łąkowy. Poza tym kanał ten będzie zaopatrywać w wodę Państwowe Gospodarstwa Rolne w Jedlance i Sosnowicy, gdzie prowadzi się hodowlę ryb.

*

Racjonalizator i konstruktor pługa do „kreciego" drenowania łąk — inżynier Kwapiszewski z Wydziału Wodno-Melioracyjnego prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie jechał na zebranie do Opola-Podedwórza trochę niespokojny. Chłop boi się zmian, a cóż dopiero, kiedy mu

(Dokończenie na str. 2-ej)

JULIUSZ GŁOWACKI

W DOLINIE NOTECI

SZLIŚMY środkiem szosy między dwoma rzędami jeszcze bezlistnych drzew owocowych. Dokoła ciągnęły się lekko pofałdowane, puste pola. Nigdzie lasu ani zagajnika... Zaledwie samotna grusza wznosi się tu i ówdzie nad ziemią — typowy krajobraz doliny Nadnoteckiej w tej części, gdzie Noteć skręca prosto na zachód, płynąc w kierunku Krzyża.

— Jaką rolę między niezrzeszonymi a zrzeszonymi w Olszewce grają łąki? Inż. Romejko, wojewódzki inspektor łąkarstwa, zatrzymał się na chwilę, aby mi odpowiedzieć.

— Jakąś rolę grają na pewno. Spółdzielnia ma już część łąk zagospodarowanych, indywidualni — wcale. Zazdroszczą na pewno spółdzielcom, kiedy patrzą, jak u nich trawka rośnie. W zeszłym roku spółdzielcy zebrali ponad 100 kwintali siana z hektara.

— Co daje 6000 zł gotówką — obliczam w myśli dochód.

W tej chwili gdzieś poza nami rozlega się warkot motoru. Niebawem dogania nas zakurzona „setka", mija nas instruktor Grochowski.

Grochowskiego znam z kursu, na którym instruktorzy z dziewięciu województw pogłębiali swoją wiedzę o łąkach i sposobach ich zagospodarowywania. Znam go także z odprawy rejonowych instruktorów łąkarstwa, na której podjęte zostały ważne dla naszej bazy paszowej zobowiązania. Aby uczcić sześćdziesiątą rocznicę urodzin prezydenta Bieruta i Święto 1-go Maja instruktorzy zobowiązali się powiększyć obszar uprawy łąk o 25 proc. i dla zaoszczędzenia nawozów sztucznych, zorganizować szeroką akcję nawożenia łąk obornikiem.

— Grochowski ciągle jest niezadowolony — mówi insp. Romejko w ślad za znikającym w dali obłoczkiem kurzu — ciągle zdaje mu się, że robi za mało, choć jego rejon jest najlepszy w województwie. On, jak koń wyścigowy — nie znosi, aby go kto wyprzedzał — zawsze musi iść pierwszy.

O instruktorze Grochowskim słyszałem również dużo w terenie. Chłopi znają jego sumienność i darzą go bezwzględnym zaufaniem. Mnie podoba się jego spokojny, zrównoważony sposób bycia — gotów więc jestem uwierzyć, że jest to „najlepszy instruktor w Polsce".

Inż. Romejko rozpina kurtkę. Jest wczesny wiosenny zmierzch. W zmierzchu tym płachty młodych ozimin wydają się całkiem czarne.

Myślę o zrzeszeniach uprawy łąk — o tej nowej formie pracy kolektywnej. Blisko cztery miliony hektarów łąk i pastwisk czeka w Polsce na zagospodarowanie, a stworzenie bazy paszowej jest warunkiem wykonania planu w zakresie hodowli, jest warunkiem poprawy naszej sytuacji żywnościowej, naszego dobrobytu.

— Nie wiem jak będzie gdzie indziej — wpada w moje rozmyślania głos insp. Romejki — myślę, że tak samo — u nas rolnicy zrzeszają się bardzo chętnie. Zrzeszenia uprawy łąk powstały nawet w głębi borów Tucholskich, wśród Borowiaków, gdzie ludzie bardzo jeszcze nie rozumieją znaczenia kolektywnej pracy.

Rozmowę tę przypomniałem sobie w kilka dni później, gdy badałem sprawę zrzeszeń od innej strony — od strony naszych władz terenowych. Okazało się, że nie tylko część chłopów, ale także niektóre Rady Narodowe nie doceniają znaczenia zrzeszeń. Świadczy o tym brak zainteresowania pracą łąkarzy i meliorantów, którzy w walce o naszą bazę paszową pozostawieni są często sami sobie.

Szliśmy teraz jeden za drugim wąską ścieżką, mijając jakiś staw, park i wielki budynek spichrza. W końcu przed nami zajaśniały okna dużego dworu. Spółdzielnia Produkcyjna im. Ludwika Waryńskiego w Olszewce.

*

— Przyjechaliśmy do was w sprawie zagospodarowania łąk — zaczął insp. Romejko. — Słyszeliśmy, że łąki u was są złe, że dają mało siana. Czy to prawda, czy nie?

Na sali trwała cisza. Nie było odpowiedzi.

— Ile zbieracie z hektara — dwadzieścia kwintali, trzydzieści?

— Gdzie tam. Dziesięć, piętnaście najwyżej.

— A dobre siano? Takie, jak z tych łąk, któreśmy w zeszłym roku zagospodarowali spółdzielni, czy gorsze?... A może lepsze?

Teraz dopiero na twarzach pojawiły się kwaśne uśmiechy i z pierwszych rzędów odezwały się głosy:

— Chyba, że gorsze.

— Druty nie siano.

— Same sity.

— Dlatego trzeba wasze łąki zagospodarować. Państwo potrzebuje mleka, masła, mięsa, a wy nie macie czym karmić bydła. Interes państwa jest w tym, żeby wasze łąki dawały nie dziesięć, a sto kwintali siana z hektara i to dobrego siana. Jasne?

Gruszczyński — przewodniczący spółdzielni — krępy mężczyzna o dużej twarzy i kruczych włosach wsparł się rękoma o kolana.

— Widzieliście, jaka trawa rosła u nas w zeszłym roku? Do piersi. Maszyną nie można było ciąć, bo za gęsto. Trzeba było kosami. Za to na innych łąkach co? — same sity. Trzeba zagospodarować i nasze łąki do reszty i wasze. Ani jeden hektar nie może leżeć odłogiem.

— Słuchajcie — podjął znowu inspektor Romejko — to, że wasze łąki są złe, wiecie sami, ale nie wiecie pewnie dlaczego.

Wasze łąki położone są w tak zwanej dolinie Nadnoteckiej. Kiedyś było tu bagno. Bagno to zostało osuszone, a na jego miejscu założono łąki. Łąki te dawały przez kilkadziesiąt lat pierwszorzędne siano, które stąd szło do wielu krajów Europy.

Z czasem jednak gleba uległa zakwaszeniu. Jak się to stało? Woda gruntowa, stojąc bez ruchu tuż pod powierzchnią torfu wyparła tlen, którym wszystko oddycha — i rośliny i zwierzęta i ludzie. Przez to wyginęły bakterie. Wiecie, że bez bakterii nie ma życia. Gdyby nie było bakterii nawóz wywieziony na pole leżałby tam nierozłożony i rośliny nie miałyby z niego żadnego pożytku. Bakterie więc wyginęły. Na zakwaszonej glebie zaczęły rosnąć chwasty. Doszło do tego, że na niektórych terenach rośnie tylko śmiałek darniowy, nic więcej. Mało tego — wasze łąki zaczynają zamieniać się w step. Jaka jest przyczyna tego stepowienia ziemi? Sprawa jest prosta. Gleba torfowa składa się z różnych szczątków roślinnych, czyli tak zwanej materii organicznej. Kiedy torfy zostały osuszone, nastąpiło szybkie spalenie materii organicznej. Ten brązowy proszek, który występuje tu w okolicy, to właśnie produkt spalania torfu.

Jaka na to rada? — melioracja. Po nawodnieniu waszych łąk, proces spalania wierzchnich warstw torfu zostanie powstrzymany, a jednocześnie woda przesiąkając w głąb ziemi wprawi w ruch wody gruntowe i dostarczy tlenu dla bakterii. W ten sposób łąki zostaną odkwaszone, chwasty, które lubią właśnie glebę kwaśną, wyginą i z nieużytków otrzymacie piękne łąki, które dadzą przynajmniej po siedemdziesiąt kwintali siana z hektara.

Zebrani słuchali z uwagą, starając się nie przeszkadzać mówcy nawet kaszlaniem.

— Oczywiście — ciągnął dalej inspektor — po zbadaniu może okazać się, że nie wszystkie łąki potrzebują nawodnienia, ale wszystkie muszą być **zagospodarowane**. Tam, gdzie potrzebna będzie orka — zaorzemy, tam gdzie potrzebny będzie podsiew traw szlachetnych — dostarczymy nasion. Chodzi o to, żeby wasze łąki dawały wam należyte plony. Wiecie, co jest warte bydło bez łąki. Tutaj kraj jest dość uprzemysłowiony. Otręby, wytłoki i innych pasz przemysłowych macie pod dostatkiem. Ale bydło trzymane w oborze i karmione tylko tymi paszami choruje na gruźlicę i bezpłodność. Otręby, wytłoki to wszystko są pasze posilne, ale jednostronne. Gdybyście człowieka karmili samą słoniną, to po czterdziestu dniach mielibyście już nieboszczyka. Tymczasem łąka składa się z 2500 różnych roślin. Jedna trawka jest gorzka, druga kwaśna, trzecia słodka, jedna zawiera te witaminy, druga inne. Krowa ma na pastwisku i ruch i światło i powietrze i rozmaitość pożywienia. Wte-

(Dokończenie na str. 2-ej)

NA „WŁODAWSKIM POLESIU"

(Dokończenie ze str. 1-ej)

przedstawić tak gigantyczny plan robót? Ale kto wie, może właśnie ten wielki plan go urzeknie. Bo o spółdzielnię produkcyjną był spokojny, spółdzielca — jak mówił — to już zupełnie inny człowiek. Ale w dorzeczu Zielawy większość stanowią gospodarze indywidualni. W dodatku powiat włodawski znany jest z tego, że gminne rady narodowe nie bardzo potrafią organizować roboty szarwarkowe.

Gdy rozpoczynali obrady w sali było ponad stu ludzi, do zabierania głosu nie kwapił się jednak nikt. Z Podedwórza przyszło najwięcej gospodarzy, ale czekali na Kusiuka, który zwykle w ich sprawach zabierał głos. Inne gromady czekały znów na to, co powie Podedwórze.

Kusiuk spóźnił się, ale przystąpił od razu do rzeczy. Musiał nad planem prześlęczeć niejedną godzinę, znał bowiem na pamięć granicę, którą miało przebiegać obwałowanie wielkiego zbiornika. Wodził laską po grubej, czerwonej linii prawie nie patrząc na mapę. Linia ta właśnie przepoławiała łąki gospodarskie i pastwisko gromadzkie w Podedwórzu. Czym będą karmić bydło, gdy im zaleją połowę tego, co mają? Jego zdaniem należało granice zbiornika przesunąć trochę na wschód, wtedy łąki z Podedwórza pozostałyby za wałem.

Kusiuk mówił płynnie jak z nut. Grupa podedwórzan w milczeniu potakiwała jego słowom.

Stefan Zielonka nie miał takich zdolności krasomówczych jak Kusiuk, ale podniósł się z ławy i zapytał, co będzie z nimi, gospodarzami z Rusił, jeśli przesunie się zbiornik w ich stronę? Będą musieli przecież oddać pastwisko pod zalew.

W obu mówców ugodził wywód trzeciego. Był nim Franciszek Krzywda z Paszenek. Jakże żyć nam dostatnio, jeśli 75 procent gruntów gospodarskich to mokradła do tego jeszcze rozrzucone w szachownicę i pocięte na zagony 3-metrowej szerokości a 3-kilometrowej długości. Nasza wieś chce jak najprędzej przystąpić do robót melioracyjnych.

Z grupy Kusiuka już kontrował czyjś głos:

— Śpieszno wam, bo będziecie mieć z melioracji korzyść. Wasze łąki są poza zbiornikiem a spalone torfowisko można zalać spokojnie i tak nic na nim nie urośnie. Ale co ma robić chłop z Podedwórza? Chyba kupić kozę i przywiązać do brzózki, bo krowy nie będzie czym wyżywić.

W oczach inżyniera Kwapiszewskiego odmalowało się zwątpienie czy przekona tych chłopów.

Głos teraz zabrał sekretarz KG, tow. Hetman.

— Nie dziwię się, że wielu z was patrząc na ten plan widzi tylko własne podwórko i krowi ogon. Chłopa włodawskiego długo oszukiwali obszarnicy, oszukiwał go przedwojenny rząd, szczuł jednych na drugich prowokator. Ale ja was pytam: Kto was teraz oszukuje? Nie mówili wam w Wojewódzkiej Radzie Narodowej kiedyś: Bierzcie bezpańską ziemię na Popówce!? A wy nie wzięliście, baliście się podatków i odstawy zboża. A teraz płaczecie, że Popówkę zabrała spółdzielnia w Opolu. Wy w Podedwórzu zawsze boicie się i przegapicie, a potem narzekacie.

Ale dziwię się, że tak samo stawia sprawę Kusiuk, najtęższa pono głowa w Podedwórzu. Sprzeczacie się już dwie godziny, gdzie ma być jeden zbiornik a o drugim ani słowa, bo leży na terenach spółdzielczych i my go zbudujemy. Czegoście to nie powiedzieli, że spółdzielcom też będzie strata i krzywda? Ech, wy... Jeśli tych 5 gromad, gdzie część gruntów ma być też zalana, nie dojdzie do porozumienia, baczcie, żeby nie było za późno jak z Popówką.

Kusiuk milczał, ale koniec łagi, który trzymał dotąd na linii przecinającej gospodarskie łąki obsunął mu się na podłogę.

Teraz wstał Paweł Kliman, członek spółdzielni produkcyjnej w Krzywowierzbie.

— Byłem w szkole rolniczej i widziałem zagospodarowaną łąkę na zmeliorowanym terenie. Zbierali na niej z hektara tyle, ile wy macie teraz z dziesięciu i to jakiego siana, zioła pachnące. Gdyby gospodarzowi została czwarta część tych blot, to po osuszeniu zbierze każdy z was więcej, niż dotąd zbieraliście wszyscy razem. Ja wam to mówię, chłop i spółdzielca.

Podedwórzanie czekali, co powie Kusiuk, ale ten wciąż milczał.

Raz jeszcze wystąpił inż. Kwapiszewski. Poniosło go „święte oburzenie". Nie myślał tłumaczyć. Cały się trząsł. Kiedy zaczął mówić, zrozumiałam, że chce chłopom pokazać, jak bardzo obrażają te wielkie rzeczy i sprawy, w których służbie on pracuje, które jego inteligenta uczyniły socjalistą. Inż. Kwapiszewski nie zna dobrze chłopów a cóż dopiero mówić o chłopach z głuszy włodawskiej. Nie połapał się, że targ o zbiornik wcale nie oznaczał, jakoby chłopi niczego więcej nie rozumieli.

Ale jego wystąpienie niewątpliwie przyśpieszyło przełom.

Teraz dopiero ten racjonalizator-inżynier mówił z przejęciem a jego oburzenie, jego ironia wprowadziły w pole działania nowy zabieg, silne oddziaływanie na uczucia. Oczywiście, czynił to mimo woli, dając folgę swemu oburzeniu.

Ale dopiero teraz zwarł się z chłopami, dopiero teraz drenował w ich duszach, przekopywał w nich kanały i pomagał spłynąć przeklętym zastoiskom upartej bierności.

— Chłopi, ja was słucham i za głowę się łapię. Bo co ja słyszę? Że my do was przyszli po to, aby w takim np. Podedwórzu chłop nie mógł krów hodować i z kozą tylko został pod brzózką. Nie tak wy całą sprawę przedstawiacie?

— O ten zbiornik nam idzie.

— Właśnie, o ten zbiornik. Zbiornik i zbiornik. Czyli jak wy powiadacie — nowe nieszczęście. O, tak, idzie na was wielkie nieszczęście, wy się w nim dobrze rozpatrzcie. Mówicie, zbiornik, to mało — a wały, 25 km walów wzdłuż brzegów Zielawy — to ku wam nie idzie? Drżyjcie, jak krety. A kanał z Wieprza do Zielawy, całych 65 km, to ku wam nie idzie? Czemu nad tym nie płaczecie? Oto ta wielka burza na waszą zagładę.

Ile hektarów będzie miał wasz zbiornik?

— Ano, 150 ha, jak w planie stoi.

— A spółdzielczy?

— 350.

— Pięknie, tych liczb nie kwestionujecie. To jakim prawem udajecie, że o trzeciej liczbie w planie nic wam nie wiadomo? Na jedno ucho słyszycie 150 ha — bo to zbiornik. A na drugie ucho już nie słyszycie o 10 tysiącach ha, które wydobędziemy z topielisk pod najlepsze w Polsce łąki i wcale dobre pola orne. Dlaczego wy tego nie słyszycie? Co?

Kto by potrzebował Wam niszczyć wasza okolice, kiedy bardziej zniszczoną trudno sobie w ogóle wyobrazić. W zalewach, sapach, torfie i turzycy wy już siedzicie od dziada i pradziada.

Ludzie, zastanówcie się, po co robotnicy zrobili wielkie maszyny do kopania, po co je wysyłają tutaj, aby kanał połączył Wieprz z waszą Zielawą? Po co ta olbrzymia robota, po co walować i prostować bieg Zielawy? Po co te zbiorniki i śluzy i rowy, po co?

Znowu nie słyszycie, co w planie stoi? 6 i pół tysiąca ha łąk będziecie mieć, które dadzą po sto q z ha. Najmniej dziesięć razy tyle, co wy macie z ha. Ale wy macie tylko kępuszki na oceanie waszych zmarnowanych rozlewisk. Przybędzie więc wam 10 razy z ha i 10 razy więcej hektarów. I to nie tylko łąk. Wydźwigniemy 2 tysiące ha ziemi ornej, tysiąc pod zalesienie, a w zbiornikach, kanałach i rowach hodowlę ryb zaprowadzimy. Macie, to wasze nieszczęście. Protestujcie przeciw całemu temu nieszczęściu i niech was diabli biorą!

Inżynier usiadł jeszcze bardziej roztrzęsiony, a wtem sala zatrzęsła się od oklasków. Kiedy umilkły, wstał Krzywda z Paszenek.

— Nasza gromada wybrała komisję melioracyjną, chcemy przyśpieszyć roboty i dlatego wyjdziemy do kopania. Starcy opowiadają u nas, że za sanacji też niby starostwo zabierało się do kopania rowów ale kazali sobie naprzód zapłacić po 120 złotych od hektara. A skąd je było brać, kiedy jeden hektar nie dawał nawet połowy tego, co chcieli. Teraz państwo dało plany, maszyny, kredyty, będzie sprawować nadzór nad robotami i nic nie kazało płacić, chociaż samo tylko zrobienie planów kosztuje na pewno furę pieniędzy. W Paszenkach słyszeli my przez radio apel chłopów z Chraplewa o uczczeniu 60 rocznicy urodzin naszego Prezydenta. To wam powiem — że chłopi z Paszenka odpowiedzą na ten apel i wyjdą w same urodziny Prezydenta do roboty przy melioracji.

W sali zapanowała cisza tak wielka, że aż mnie to zdumiało. Spodziewałam się oklasków. Ale teraz to i ja nie zdałam egzaminu. Teraz i ja nie pojęłam włodawskich chłopów, chłopów ze „smutnej ziemi", na której dwie siły się z sobą tradycje. Tradycja ucisku bezlitosnej przyrody i bezlitosnego wyzysku kapitalistycznego i tradycja buntu, który potrafił w tych rozkudlonych głowach zaplonąć planem rewolucji proletariackiej.

Rozejrzałam się, nie była to martwa cisza. Oczy wszystkich wpatrywały się w Kusiuka. Oczy wszystkich zdawały się mówić — ostatnia twoje chwila do połączenia się z nami.

Kusiuk wstał. Rozprostował się ten średniak i odetchnąwszy, zakrzyknął:

— To od tego trzeba było zaczynać a nie od zbiornika. Czemuście, Krzywda, dusili najważniejsze, jak kota w worku? Podedwórzanie nie gorsi od chłopów z Paszenek. Na apel Chraplewa też odpowiemy. Wpisujcie do protokółu, że i my wychodzimy razem do roboty. Przejechał się po nas pan inżynier, oj, przejechał, ale my panie inżynierze też nienajgorsi, wpisujcie!...

— Teraz dopiero zahuczała sala oklaskami. Wszyscy wstali z miejsc.

✣

30 gromad, w tym 12 spółdzielni produkcyjnych, zgłosiło około 7 tysięcy dniówek roboczych przy melioracji.

Chłop znad Zielawy, opieszały dotąd w robotach szarwarkowych, po raz pierwszy stanął samorzutnie do zbiorowego czynu. Stanął, bo zrozumiał, że nadchodzi gigantyczna przemiana, która wreszcie poradzi sobie z jego zalewami, turzycą, sapami i torfami.

Olga Gancarz

W DOLINIE NOTECI

(Dokończenie ze str. 1-ej)

dy sama jest zdrowa i daje zdrowe mleko. Nie trzeba jej nawet dawać otrąb ani strączkowych, sama trawa czy siano z dodatkiem buraka dla soku wystarczy. Dobre siano ma przecież 12 proc. białka, podczas gdy otręby tylko 8 proc.

— No i łąka to gnój, a gnój to urodzaj na polach — dorzucił z kąta Grochowski.

— Oczywiście. Chodzi więc o to, żebyście teraz powiedzieli: chcecie, żeby wasze łąki zagospodarować, czy nie?

— Co do tego, nie może być gadania — mruknął siedzący na przedzie wąsaty gospodarz — jeden z indywidualnych z Olszewki. — To się rozumie samo.

— No to dobrze. Chodzi teraz o to, w jaki sposób będziemy pracowali. Mówca przerwał na chwilę. Na sali panowała martwa cisza.

— Jasne, że my wszystkiego wam nie zrobimy. Damy maszyny, nawozy i nasiona, damy wam fachowca — instruktora Grochowskiego, którego dobrze znacie. Reszta należy do was. Ale żeby wasza praca nie poszła na marne, żeby dała wyniki, proponujemy wam założyć **zrzeszenie.**

Inspektor Romejko obejrzał zebranych.

— Macie takie zrzeszenie w sąsiedztwie, wiecie na czym ono polega: łąkę uprawiamy i pielęgnujemy wspólnie, kosimy wspólnie, a siano zbiera każdy sam ze swego kawałka i robi z nim co mu się podoba.

Patrzyłem na salę. Twarze były skupione, poważne. Widać było, że zebrani zgadzają się z mówcą, czekają tylko dalszych wyjaśnień.

— Dlaczego proponujemy wam zrzeszenie? — mówił dalej insp. Romejko. — Dlatego, że z każdym z osobna trudno jest dojść do ładu. Ten chce siać dziś, tamten za tydzień, ten chce dać kwintał nawozu, tamten dwa kwintale, a znajdą się jeszcze tacy, którzy zechcą część nawozów „zaoszczędzić", żeby je wysiać na swoje pole. Tymczasem, jeśli będzie zrzeszenie — instruktor dobierze odpowiednie mięszanki traw, zadecyduje gdzie i jak należy nawozić, a pertraktować nie będzie musiał z każdym z osobna tylko z powołanym do tego zarządem. To samo z pieniędzmi. Jeśli trzeba będzie opłacić traktorzystów, załatwi to członek zarządu, którego wybierzemy na skarbnika.

Pomyślcie więc i zadecydujcie: ma być zrzeszenie, czy nie?

Chwilę trwała cisza, po czym rozpoczęły się szeptem prowadzone narady. Przerwał je dopiero sołtys, który wystąpił z wnioskiem: myślę, że sprawa jest jasna. Kto jest za zrzeszeniem — ręka do góry.

Rozejrzałem się. Dokoła unosiły się czarne, spracowane ręce, dźwigające ważką dla wszystkich decyzję. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że na tej sali są przecież dwa światy: nowy i stary. Czyżby rzeczywiście „łąki ich pogodziły", jak to przewidywał przewodniczący Gruszczyński? We wszystkim jeszcze nie, ale w tej chwili, gdy stary świat wchodził na nową drogę, antagonizmy stały się niewyczuwalne.

Sołtys siadł do sporządzania listy. Nazwisko, imię, łąka... Padały cyfry: 3 hektary, 4 hektary, 3 i pół hektara... Pierwsze podały swoje nazwiska kobiety. Śledziłem je z uwagą przez cały czas zebrania i widziałem z jaką ciekawością i zainteresowaniem słuchały wywodów insp. Romejki. Za nimi poszli mężczyźni. Chyba cała gromada? Oto sołtys pyta — kto nie przystępuje do zrzeszenia? — Chwiłka, Chwiłka nie chce przystąpić.

— Chwiłka, nie chcecie?

Wszystkie głowy skierowały się w kierunku pieca. Poza nim siedział ktoś, kogo nie widziałem, ale czyj głos usłyszałem za chwilę:

— U mnie nie ma co robić z maszyną. Tam maszyna nie wejdzie.

— Dlaczego?

— Tam człowiek ulgnie, a co dopiero maszyna. Szkoda gadać.

Znów głos zabrał inspektor Romejko.

— Jeżeli u was za dużo wody — to odwodnimy. O tym zadecyduje już instruktor Grochowski, który tu z wami zostanie i specjalna komisja, ale coś mi się nie wydaje, żeby u was było tak mokro.

— Nie jest tak źle — dobiegł głos z końca sali.

Za piecem zahuczało:

— Tam jest dziura po torfie. Tam maszyna nie wjedzie i koniec.

— Słuchajcie Chwiłka — odezwał się teraz przewodniczący Gruszczyński. — Jak uważacie — mamy wszystkie łąki uporządkować, a wasz kawałek ominąć — co? To znaczy, że jak będziemy nawadniać, to mamy sypać specjalne groble, żeby was nie zalało? A może wy myślicie inaczej? Może myślicie: kiedy będą zalewać, to i moją łąką woda poplynie. W ten sposób swoje dostanę, a zapisać się i tak nie zapiszę, co?

Sala gruchnęła śmiechem.

— No powiedz Chwiłka — myślisz tak, czy nie? — pytali sąsiedzi oponenta, spoglądając na spółdzielców i na nas.

— Maszyną u mnie nie wjedzie, a zalejecie czy nie zalejecie i tak nic nie zbiorę. Nie zbieram i nie zbiorę.

— Nie zbierasz? — podchwycił Gruszczyński — nic, ani jednego wózka?

— On zbiera dwa razy tyle co ja — odezwał się jakiś głos — a ja mam cztery wozy.

— No widzicie Chwiłka... I co z was za człowiek? — ani was połknąć, ani wypluć.

Sala znów zatrzęsła się śmiechem.

— Dajcie mu spokój — przerwał inspektor. — Nie chce, to nie. Nie będziemy nikogo ciągnąć. Zobaczy, to sam do was przyjdzie. A wtedy już zarząd zadecyduje: przyjąć go, czy nie.

Proponuję teraz wybrać zarząd. Kogo chcecie za przewodniczącego?

— Staniucha Jana — posypały się głosy.

— Dobrze. Zapiszcie sołtysie. Teraz sekretarz..

Ostatecznie w skład zarządu czterdziestego drugiego zrzeszenia weszło dwóch gospodarzy indywidualnych, jedna gospodyni i przewodniczący spółdzielni im. Ludwika Waryńskiego.

Tylko jeden człowiek pozostał poza zrzeszeniem. Siedział za piecem, i od czasu do czasu dobiegał stamtąd jego basowy pomruk. Chciałem go zobaczyć, ale jakoś wstyd mi było podejść i zajrzeć mu w oczy. Dlatego do dziś dnia nie wiem, jak wygląda Ignacy Chwiłka — jedyny oponent z gromady Olszewka, powiatu Wyrzysk, województwa bydgoskiego.

Juliusz Głowacki

TADEUSZ MURAS

Gazetki wiejskie — orężem socjalistycznej opinii

W dniach 11 i 12 marca br. odbyła się w Warszawie I-sza Ogólnokrajowa Narada Redaktorów Gazetek Gromadzkich zorganizowana przez ZG, ZSCh Narada ta była połączona z krajową wystawą najlepiej redagowanych gromadzkich gazetek ściennych.

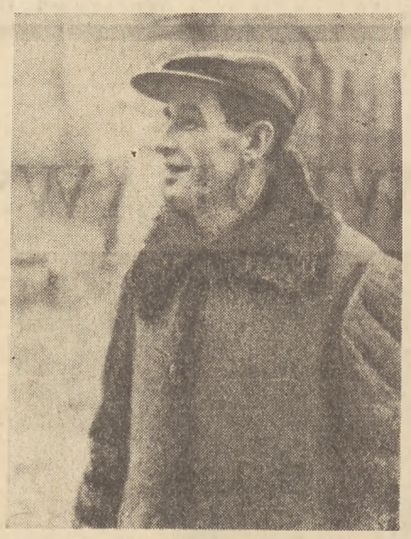

Foto Maciejewski

Sam termin „gromadzka gazetka ścienna" jest terminem tak samo nowym, jak nową jest forma agitacji, którą gazetka reprezentuje. Nie posiadała ona żadnego odpowiednika w przeszłości, ponieważ te zmiany, które ma przyśpieszyć i ugruntować gazetka ścienna, przychodzą na wieś po raz pierwszy. Ta forma agitacji musiała powstać i powstawała niekiedy zupełnie samorzutnie w wyniku wzrostu aktywności mas chłopskich.

Uczestnicy Narady przedstawiali dzieje powstania swoich gazetek. W Biskupicach (pow. sycowski), jak opowiadała Józefa Kołodziejczyk, pierwszą sprawą, która skłoniła cztery kobiety ze wsi do wywieszenia gazetki, był skup zboża. Biedniejsi sprzedali zboże państwu, a bogatsi pochowali je. Kobiety wypisały w gazetce nazwiska tych, którzy się wywiązali w skupie i tych, którzy zwlekali z odstawą. Pod adresem opornych umieszczono w gazetce ostrą krytykę. Za dwa dni gazetkę ktoś ukradł. Skrytykowani odgrażali się redaktorkom, ale publiczne napiętnowanie pomogło. Odtąd gazetka ścienna stała się sumieniem wsi w każdej sprawie i organem wyrażającym intencje wszystkich uczciwych ludzi we wsi. Pierwsze redaktorki, dwie starsze już i dwie młode kobiety, zdołały w krótkim czasie skupić wokół siebie szeroki aktyw ludzi, którzy sprawy wsi ujęli mocno we własne ręce. Nie przeszkodziło kułackie oburzenie i nazywanie redaktorek plotkarkami. Nie upłynęło bowiem wiele czasu, a z inicjatywy ludzi, których świadomość dojrzała w walce z kułacką obłudą, założono we wsi spółdzielnię produkcyjną. Do spółdzielni przystąpiło od razu 20 członków. Inicjatywa wsi umiała znaleźć swoją formę. Tą formą stała się gazetka ścienna.

✣

Trudno dziś wyobrazić sobie jakąkolwiek działalność na wsi, w której nie byłoby poparcia ludności, w której nie byłoby zrozumienia ze strony ludności, że ta działalność spełnia najżywotniejsze interesy chłopa. Byłoby wielkim błędem politycznym gdyby jakakolwiek instytucja czy organizacja w terenie stała się tylko instytucją, przez którą państwo ze swoimi żądaniami docierałoby do chłopa. Byłoby wielkim błędem, gdyby instytucja czy organizacja działała bez inicjatywy wsi, gdyby była placówką, która by tę inicjatywę, często nieskrystalizowaną i błądzącą nie rozbudzała i nie organizowała, gdyby nie potrafiła wykazać chłopu, że jest prowadzona w jego interesie a tym samym w interesie władzy ludowej, i że jest obliczona na jego świadomy współudział. I gdyby nie potrafiła zdobyć tego współudziału, skazana byłaby na bezwzględne niepowodzenie. Każda też nieudana akcja na wsi miała najczęściej to zasadnicze źródło — była robiona z zewnątrz, bez udziału wsi.

Często można słyszeć z ust rozgoryczonych, samotnych działaczy narzekanie na brak zrozumienia u chłopa podstawowych i łatwych spraw. To zrozumienie jednak można bardzo łatwo obudzić, dając chłopu możliwość osobistego udziału i wglądu w realizację tych spraw. Dawno już wydano u nas walkę aktywistom działającym wśród ludu, ale bez ludu. Za taką działalnością najczęściej ukrywa się wróg, ponieważ ta forma działalności czyni go odpowiedzialnym jedynie przed władzami zwierzchnimi przed którymi o wiele łatwiej jest mu ukryć swe własne oblicze, niż przed ludźmi, wśród których i i dla których rzekomo pracuje.

Dobre i bojowe gazetki ścienne, jak wynika z ankiet i opowiadań uczestników, powstawały niejednokrotnie właśnie w momencie, gdy praca takiego „aktywisty" zaczęła się odbywać bez udziału wsi i poza jej kontrolą. W Wierzbocicach (powiat Września) gazetka ścienna zaatakowała skutecznie kumoterstwo w spółdzielni Gminnej ZSCh. Nie szkodzi, że redaktorzy gazetki stracili zaufanie w Zarządzie Spółdzielni. Zdobyli je natomiast u ludzi. Pokazali ludziom, że dziś nic nie wolno robić po cichu, ponieważ z takiej cichej roboty każdy ma prawo i obowiązek zrobić głośną sprawę.

W Ciszkowie (pow. Czarnków) gazetka ścienna zdemaskowała kumoterstwo w GS i spowodowała zmianę komitetu członkowskiego. We wsi Nowe Biele (pow. Koszalin) zmieniono nieuczciwego sołtysa. W Borzęcinie (pow. Brzesko) udzielający pomocy sąsiedzkiej pobrał zbyt wysoką opłatę. Napiętnowany w gazetce zwrócił nadwyżkę. W Kamieńsku (powiat Piotrków) zdemaskowano przy pomocy gazetki wroga Tkacza Antoniego, który dostał się na stanowisko przewodniczącego ZGm. ZMP. Za słuszną krytykę chciał pobić członków zespołu redakcyjnego i zmusić ich do zdjęcia gazetki. Gdy tego nie uczyniono, włamał się do świetlicy i gazetkę podarł. Dalsza krytyka ujawniła, że Tkacz, pracując na etacie ZMP, dążył do siania antagonizmów w organizacji. Pracę przewodniczącego ZGm. ZMP wziął jako stanowisko płatne i autorytatywne. Pracował równocześnie w GS i Filmie Polskim w Kamieńsku. Jego sprawą zainteresował się z kolei Zarz. Woj. ZMP i KP. PZPR. Usunięto Tkacza z organizacji i zdjęto z odpowiedzialnych stanowisk.

Aktywność mas nabiera coraz większej siły. Dopuszczając ją do głosu, zbliżamy do chłopa wiele spraw, które nie rozbudziłyby jego twórczych wybiegających poza zaścianek zainteresowań, gdyby nie odwołać się do oddolnej inicjatywy i nie zaufać jej.

Poprzez aktywną działalność gazetki rośnie we wsi aktyw ludzi, którzy realizację najważniejszych spraw biorą sobie za sprawę osobistego honoru. Walcząc o sprawy słuszne kolektyw ten siłą rzeczy wcześniej czy później pociągnie za sobą każdego, któremu droga jest uczciwość i prawda — każdego człowieka pracy. Ci, którzy ulegają jeszcze kułackiej propagandzie, będą naśladując kułaka początkowo oburzać się i sarkać. Drażnić ich będzie spółdzielczość produkcyjna, planowy skup zboża i wiele innych spraw nowych dla nich i niezrozumiałych. Nie oburzą się natomiast, a przeciwnie, obdarzą gazetkę zaufaniem, gdy wystąpi w sprawach, których słuszność jest rzeczą oczywistą i zrozumiałą dla każdego pracującego chłopa. W tym miejscu zaczynają rozchodzić się drogi kułaka i uzależnionych od niego chłopów. Drogi te rozejdą się publicznie i głośno ponieważ gazetka różnice, jakie dzielą kułaka i pracującego chłopa, rysuje publicznie i ogłasza przed całą wsią donośnie. Jej notatki chwytające najaktualniejsze sprawy wsi są szeroko komentowane przez całą gromadę.

✣

Gazetki, piętnując pijaństwo i chuligaństwo, kumoterstwo i wszelką nieuczciwość, najłatwiej zdobywają uznanie i współpracowników wśród starszych i młodzieży na wsi. W ten bowiem sposób od zagadnień obyczajowych i moralności ludzi wychodząc uczą, że moralność i obyczaje, to również sprawy stosunków społecznych, to również polityka w przyczynach i skutkach.

Taka aktywność wsi zapewne nie będzie po myśli kułaka. Gazetki ścienne, propagując czytelnictwo, sport, maszyny SOM-ów i POM-ów, zespoły uprawowe, zdobycze nauk rolniczych, piętnując równocześnie nieusprawiedliwioną niechęć do nowości kulturalnych i gospodarczych, wysuwają do publicznej wiadomości i do oceny te sprawy, które w życiu wsi były dotąd rozumiane jako sprawy osobiste poszczególnych jednostek. Budują w ten sposób nową, socjalistyczną świadomość chłopa.

Spośród 168 uczestników narady większa część meldowała o skutecznych interwencjach gazetek w sprawie skupu i kontraktacji. Jest to bardzo ciekawe zjawisko.

Gazetka ma często większą siłę wychowawczą niż nagana w prasie lub administracyjna kara. Napiętnowanie z zewnątrz chłop często przyjmuje lżej, licząc na współczucie jeżeli nie całej, to przynajmniej części wsi. Jego godność osobista na tym nie cierpi, ponieważ ocena jego godności uzależniona jest od opinii wsi. A ona właśnie na przestrzeni 7 lat nowej Polski uległa wielkim przeobrażeniom, przechodząc z pozycji antagonistycznej do nieantagonistycznej w stosunku do władzy państwowej, jednocząc się z wolą i myślą kierującej klasy robotniczej.

Napiętnowanie przez gazetkę jest naciskiem i moralnym i społecznym, stosowanym przez wieś i świadczącym dobitnie, że dawną, przysłowiową („byle polska wieś spokojna") solidarność wsi diabli wzięli.

Gazetka, która równocześnie występuje w sprawach słusznych i zrozumiałych dla każdego chłopa, jak walka z wyzyskiem kułackich usług, walka z kumoterstwem w gminie i powiecie, walka z chuligaństwem, propagowanie różnych form oświaty i gospodarczej pomocy państwa, zasługuje na uznanie i liczenie się z jej zdaniem. Gazetka, która wielokrotnie powiedziała właśnie to, co **każdy chłop miał już na końcu języka**, jest co najmniej organem, wyrażającym myśli najświatlejszych i najuczciwszych ludzi. Któż obojętnie przyjmie krytykę własnej osoby, opublikowaną w gazetce, która wiele razy zdobyła sobie poparcie całej wsi? Takiego śmiałka nie znajdziemy! A co to znaczy? Znaczy to, że na wieś wkraczają nowe kryteria ocen! Znaczy to, że w kształtowaniu opinii i dobrego imienia traci swój monopol **obyczajowa** plotka. Tym nowym kryterium ocen społecznych i moralnych staje się nowa treść świadomości politycznej i obywatelskiej, stosunek do osiągnięć władzy ludowej, stosunek do zadań, jakie władza ludowa przed wsią stawia. Dawny kawalerski i „gospodarski" honor ustępuje miejsca **obywatelskiemu** honorowi. A to jest prawdziwa rewolucja.

Gazetka ścienna, podobnie jak wiele innych form działalności politycznej i kulturalnej zmienia wieś z przedmiotu politycznej działalności na **podmiot** i przedmiot tego działania **równocześnie.** W tym właśnie tkwi główny sens nowych przemian że są one dokonywane przy czynnej pomocy, wraz z którą przemiany te się odbywają. Odgórna inicjatywa kierownictwa partyjnego spotyka się z inicjatywą, poparciem i czynnym współudziałem dołów — jak chciał Lenin.

✣

Jeszcze kilka słów o redaktorach gazetek ściennych. Któż to są redaktorzy gazetek gromadzkich? Czy jacyś to fenomenalni ludzie, że ich działalność zdolna jest na wsi przyspieszyć tak głębokie procesy? Nie, są to prości, uczciwi ludzie, oburzeni do głębi najdrobniejszym a niesłusznym postępowaniem. Redaktorami zostają wtedy, **kiedy mają śmiałość oburzyć się publicznie,** przy pomocy pisma. Wiele gazetek powstało właśnie z takiego oburzenia i były to najlepsze gazetki. W gronie ich redaktorów wychowywali się późniejsi aktywiści wiejscy.

Jest wiele wspólnego między redaktorem gromadzkiej gazetki ściennej a korespondentem prasowym. Zarówno jeden jak drugi z własnej inicjatywy stawia sobie za punkt honoru walkę ze złem we wszelkiej postaci. Zarówno jeden jak drugi przeciwstawia temu złu istniejące lub proponowane pozytywy. Istnieje jednak głęboka różnica między działalnością jednego i drugiego.

Korespondent widząc szkodnictwo lub błędy w terenie stara się im przeciwdziałać, odwołując się do interwencji i autorytetu centralnej prasy. Redaktor gromadzkiej gazetki ściennej musi sam reprezentować sobą wysoki autorytet we wsi, bądź starać się, żeby jego wystąpienia były czynnikiem **organizującym i ośmielającym do wystąpienia pewną część wsi, do walki i działania na miejscu, własnymi siłami.** Korespondent proponując określone ulepszenia politycznej, gospodarczej czy kulturalnej działalności, poleca poprzez prasę centralną, poza gminą, poza powiatem i województwem — załatwienie tej sprawy odnośnym czynnikom, **nie angażując się osobiście w realizację własnych propozycji,** Redaktor natomiast wraz z podobnymi propozycjami musi sobą reprezentować zdolność ich realizacji osobiście lub widzieć w terenie, na miejscu, określone, zdolne do tego siły. Korespondent może ukryć swoje nazwisko, redaktor musi występować jawnie i osobiście. Dlatego praca redaktora gazetki gromadzkiej jest bardziej odpowiedzialna, niż praca korespondenta.

Nie mówię tu o gazetkach tego typu, jakich część możemy spotkać w spółdzielniach produkcyjnych i w niektórych PGR-ach. Ich materiał ogranicza się często do komentowania wydarzeń. Nierzadko redaktorzy zadowalają się wycinaniem artykułów z gazet. Taka gazetka pozbawiona swej demaskatorskiej i twórczej pasji nie spełnia w życiu wsi w pełni owego zadania.

Na naradzie redaktorów w Warszawie było obecnych 23 redaktorów w wieku ponad 30 a nawet ponad 40 lat. Jest to zjawisko bardzo dodatnie, ponieważ świadczy o tym, że sprawa gazetek jest sprawą nie tylko młodzieży, lecz w dużej mierze również **sprawą starszego pokolenia.**

Zagadnienie gazetek ściennych na wsi wydaje się sprawą niezwykle ważną. I wśród spraw wiejskich wymaga ona bacznej uwagi władz i organizacji terenowych. Należy wielki nacisk położyć na rozwijanie tego ruchu oddolnej inicjatywy twórczej. Zagadnienie funkcjonowania, jak również proces powstawania gazetki ściennej wymaga szerokiego zbadania, by już w zaraniu tego ruchu rozporządzać doświadczeniami, które ten ruch mogą przyspieszać i nadać mu największą dynamikę i skuteczność.

Tadeusz Muras

JANUSZ MACIEJEWSKI

REPORTAŻE O SPÓŁDZIELNIACH PRODUKCYJNYCH

(Artykuł dyskusyjny)

I

JEST faktem wielokrotnie już sprawdzonym, że w podejmowaniu nowej, aktualnej problematyki reportaż wyprzedza zawsze literaturę sensu stricto. Nie będą przytaczał na dowód tego przykładów z przeszłości (dość wspomnieć Kotta „Węgiel" czy Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę"). W całej rozciągłości potwierdza to seria reportaży literackich o spółdzielniach produkcyjnych wydanych ostatnio przez *„Książkę i Wiedzę"*.

Leży przede mną 14 cienkich (30—80 stron), ładnie i w pomysłowej szacie graficznej wydanych książeczek [1]). Ich poziom artystyczny i ideologiczny jest różny. Cechą wspólną natomiast jest odwaga z jaką poruszają sprawy nieśmiało dotąd traktowane w literaturze, sprawy tak ważne jak zagadnienie obowiązku pracy w spółdzielni produkcyjnej, hodowli, inwestycji, dniówki obrachunkowej, kredytów państwowych itd.

Reportaże o spółdzielniach należy rozpatrywać ze względu na ich podwójną rolę: 1. jako historyczny dokument o trudzie tworzenia pierwszych wyłomów w drobnotowarowej i kapitalistycznej jeszcze strukturze polskiej wsi, 2. ze względu na ich wartość mobilizującą, agitacyjną w walce o całkowite przeobrażenie ekonomiki wsi. Pierwsze zadanie, to zadanie o obliczu skierowanym w przyszłość. Mają nasze reportaże mówić przyszłym pokoleniom o pracy i walce ludzi — założycieli pierwszych spółdzielni produkcyjnych, mają przekazać przyszłości nazwiska tych, którzy kosztem ogromnych wysiłków i wyrzeczeń walczyli o nie. Tutaj zadaniem naszym będzie prześledzić czy w sposób prawdziwy ukazują one obraz naszych dni.

Drugie zadanie reportażu to zadanie odnoszące się do zagadnień dnia bieżącego, to obowiązek mobilizowania mas biedniackich i średniackich do zwarcia wspólnego frontu wokół spółdzielni, a przeciw wrogowi klasowemu — kułakowi. Zastanowić się tu wypadnie nad tym, czy i w jakim stopniu tę poważną funkcję polityczną spełniają reportaże wydane przez *Książkę i Wiedzę*.

II.

W roku ubiegłym na naradzie twórczej reportażystów Ukrainy zastanawiano się w dyskusji nad sprawą, dlaczego reportaże z lat trzydziestych, reportaże o inicjatorach ruchu stachanowskiego są już dziś pozycjami martwymi, dlaczego żywot ich był tak krótkotrwały. Przyczynę tego zjawiska upatrywano na naradzie w tym, że autorowie owych reportaży, jakkolwiek wyczerpująco opisywali nowe metody pracy nie potrafili wniknąć w psychikę bohaterów, wykazać przełomu, jaki równolegle i w związku z rewolucją społeczno-gospodarczą, dokonywał się w ludziach radzieckich, w sposobach ich myślenia i przeżywania. To nastawienie się jedynie na opisywanie dziejących się aktualnie procesów historycznych, przy jednoczesnym pomijaniu albo przynajmniej pomniejszaniu roli człowieka i jego świadomości w tych procesach cechuje i nasz współczesny reportaż. Łączy się to w pewnym sensie i z tym, że w literaturze burżuazyjnej reportaż traktowany był jako „kopciuszek" wśród rodzajów literackich. Przekonanie takie nadal pokutuje wśród większości naszych pisarzy, w wyniku czego pozostaje on domeną dziennikarzy lub literatów początkujących, co wpływa niewątpliwie ujemnie na jego poziom artystyczny. Obok omówionej tu, istnieje jeszcze druga, ważniejsza przyczyna niedomogów reportażu. Jest nią nieprzezwyciężenie przez sam reportaż poetyki wyniesionej przez ten gatunek z literatury burżuazyjnej, poetyki zwężającej już w założeniu możliwości poznawcze reportażu, jako formy niezdolnej do oddania całej pełni prawdy o rzeczywistości, umiejącej jedynie notować wydarzenia tejże rzeczywistości. Oczywiście nie możemy zaprzeczać, że reportaż nasz w ciągu ostatnich siedmiu lat rozwinął się, że bardzo daleko odszedł od swych przedwojennych wzorów, zmiany te ograniczyły się jednak prawie wyłącznie do kręgu zagadnień tematycznych, poruszania i odkrywania nowych zagadnień, na zmianę istoty reportażu wpłynęły one jednak w stopniu niewielkim. Stanowisko reportażu jako autentyku, jako opisu zdarzenia, które obserwował, lub o którym słyszał autor eliminuje opis wewnętrzny przeżyć bohatera jako niedostępny bezpośredniemu doświadczeniu autora. Co najwyżej może to być przytoczenie wypowiedzi samego bohatera na temat swych przeżyć. Zakres dostępny obserwacji pisarza ogranicza się więc w zasadzie do *zachowania się* bohatera (przypomina to do złudzenia amerykański behawioryzm, niestety jest zasadą i naszych reportaży). Jest rzeczą jasną, że reportaż nie będzie mógł spełniać roli zwierciadła dokonywających się przemian, nie będzie mógł wytwarzać silniejszej więzi uczuciowej między ukazywanym obrazem, a czytelnikiem, dopóki autor jego nie będzie miał prawa do odtwarzania na podstawie obserwacji „zachowania się" i wypowiedzi bohatera jego przeżyć wewnętrznych, do nasycenia go ludzkimi uczuciami, do stworzenia z niego podmiotu wydarzeń a nie tylko poruszającego się i mówiącego obiektu.

W praktyce pisarskiej konsekwencje takiego ograniczania możliwości poznawczych reportażu szły o wiele dalej. Utarło się ograniczanie zakresu tematycznego reportażu do spraw działalności bezpośrednio produkcyjnej, ważnych wydarzeń, uroczystości — a więc objawów życia niewątpliwie istotnych, ale nie stanowiących jego całokształtu. Eliminowano z reportażu życie osobiste, domowe, wstydliwie unikano spraw miłości, a więc tematów, które nawet pozostając przy tradycyjnych kompetencjach reportażu możnaby doskonale oddać.

Na usprawiedliwienie naszego reportażu zaznaczyć należy, że czyni on ostatnio wielokrotne próby przełamania utartych konwencji. Jedną z tych prób będzie wprowadzenie do reportażu elementów fikcji (Kuśmierek, Marian Brandys) służących uwydatnieniu pewnych typowości. Inną drogą poszli ci pisarze, którzy przekraczając utarty zakres tematyczny ukazują prywatne, osobiste życie swych bohaterów. To ostatnie znalazło miejsce w niektórych reportażach.

Będzie to przede wszystkim Woroszylskiego i Zalewskiego „Rok walki i zwycięstw", najlepszy z 14 reportaży *Książki i Wiedzy*. Stawiam go na pierwszym miejscu dlatego, że obok dużych zalet artystycznych i politycznych, nie ogranicza przeobrażeń ogarniających wieś polską tylko do zagadnień produkcyjnych, ale pokaże jak przeobrażenia te załamują się w życiu osobistym i świadomości ludzi (epizod Marysi Stefańczuk), że potrafi ukazać wewnętrzne psychiczne motywy działalności swych bohaterów (sprawa Władysława Dudka). Pod tym względem stara się zbliżyć do czytelnika swych bohaterów i Jan Baranowicz w „Spółdzielni nad zieloną wodą" (Staszek Lis, częściowo sprawa Jana Fryga), słabsze jednak pod względem artystycznym i siły agitacyjnej. Inni autorowie rezygnują raczej z prób pogłębienia psychologicznego swych postaci. A szkoda. Bo w dobrych (w większości) pod innymi względami reportażach zwrócenie uwagi na człowieka i jego przeżycia, zbliżyłoby je do czytelnika, uczyniło bardziej humanistycznymi.

III

Przeczytawszy 14 wydanych przez *Książkę i Wiedzę* reportaży można by posądzić autorów o schematyzm, tak losy wszystkich spółdzielni są do siebie podobne. Byłaby to jednak niesłuszna złośliwość. Dzieje poszczególnych spółdzielni mimo swych specyficznych odchyleń oddają pewną ogólną prawidłowość rozwoju, a obowiązkiem autora jest właśnie ową prawidłowość uchwycić. Pod względem zbliżenia do niej można też wyłącznie oceniać poszczególne reportaże o spółdzielniach produkcyjnych.

Książka i Wiedza udogodniła badania, o ile autor przez selekcję i dobór faktów umie wydobyć ogólne prawidłowości rozwoju, wydając dwa reportaże z tej samej spółdzielni produkcyjnej w Grochowie — powiat kutnowski. Są to: Stanisława Piętaka „Wczoraj i dziś" i Teresy Chabowskiej „Spółdzielnia produkcyjna Grochów". Ciekawa jest konfrontacja obu reportaży. Piętak daje w swym utworze rys historyczny Grochowa zaczynając od czasów przedwojennych, kiedy był tu folwark barona Duninowskiego, poprzez reformę rolną, aż do walki o założenie i ugruntowanie spółdzielni produkcyjnej. W tym rysie historycznym sama walka o spółdzielnię wychodzi nieco uproszczona. Za łatwo dochodzi do zwycięstwa spółdzielców, trudności wspomina się tylko w deklaracjach. A tymczasem z reportażu Teresy Chabowskiej (zaczynającej akcję od 1949 roku, od pierwszych kroków około założenia spółdzielni) wynika, że w Grochowie borykano się z wieloma i to nie małymi trudnościami. Przede wszystkim reportaż Chabowskiej rzucony jest na szersze tło klasowe. Pokazuje wzajemne stosunki biedniaka i kułaka (sprawa Garbacza i Kępińskiego) drogi jakimi biedniak, początkowo wrogi spółdzielni, zahukany przez bogacza i księdza, dochodzi do świadomości, że jego miejsce jest w spółdzielni produkcyjnej. Pokazuje ważną rolę ekip łączności miasta ze wsią i pomocy jaką udzielali grochowiakom kutnowscy kolejarze. Ukazuje, jak już w spółdzielni będą ludzie z trudem dorastali do nowej świadomości, do nowej opartej na kolektywnej pracy i gospodarowaniu moralności. Wszystko to każe utwór Chabowskiej postawić wyżej od Piętaka, mimo wszystkich jego zalet i dużego poziomu artystycznego.

Ważną sprawą w reportażu o socjalistycznych przeobrażeniach wsi jest ukazanie trudności, na jakie w swym rozwoju napotykały pierwsze spółdzielnie, oraz dróg wiodących do ich likwidacji. Naiwny optymizm to jeden z najniebezpieczniejszych dla tego typu utworów wrogów. Pod tym względem zasługuje na uznanie Krasuckiego „Zdobycz chłopska", najlepszy po wspomnianym już „Roku walki i zwycięstw" reportaż z omawianej przeze mnie serii. Świadczy on dobitnie o tym, że ukazanie wszystkich nawet najdrobniejszych trudności, jakie napotykają w swej pracy spółdzielcy, nie tylko nie przeszkadza potężnemu optymizmowi bijącemu z całości reportażu, lecz przeciwnie pomaga mu.

Jakże odcina się od takich reportaży, że sięgnę do przeciwnego bieguna, słaby i nieprzekonywający utwór Zofii Dróżdż-Satanowskiej „Przyszłość w Kulicach", niewątpliwie najsłabszy reportaż ze wszystkich omawianych. Świadczy on o tym, że nawet na terenie najmniej na tzw. „schorzenia wzrostu" podatnego gatunku, jakim jest reportaż, mogą one doprowadzić do wielkich wykoszlawień. Hurraoptymizm, traktowanie spółdzielców kulickich jako skończenie idealnych o zakończonym rozwoju ludzi, że z braku miejsca nie omówię już wyraźnych błędów politycznych, niekonsekwencji artystycznych i manieryzmu stylistycznego, sprawiają, że reportaż Dróżdż-Satanowskiej staje się pozycją bardzo mało społecznie przydatną.

Inną sprawą jest wykazanie wyższości życia spółdzielni produkcyjnej nad gospodarowaniem indywidualnym, większych korzyści, jakie tu chłop odnosi. Dlatego też wspomnienia chłopa Władysława Skóry „Byłem w spółdzielni produkcyjnej" (literacko opracowane przez Józeaf Mortona), oparte na kontraście między życiem chłopa indywidualnego a rzeczywistością spółdzielczą spełniają dobrze swoją rolę, są eksperymentem literackim w zupełności udanym.

Ze względu na specyfikę formalną wyróżnia się z serii *Książki i Wiedzy* ciekawie skonstruowany reportaż Juliana Gałaja „Czarnostów", oparty na opowiadaniu sekretarza Komitetu Powiatowego Partii w Makowie - Sobieskiego o zorganizowaniu spółdzielni w Czarnostowie, w terenie niezwykle zacofanym, oraz o pracy tej spółdzielni w ciężkich warunkach, jeśli zważy się działające tu jeszcze podziemie. O wiele natomiast słabszy jest—także wyróżniający się ujęciem formalnym — reportaż Adama Tarna „Zebranie w Piotrkowicach", nie dający zadowalających rezultatów artystycznych, z powodu trudności oddania całej problematyki pracy i walki spółdzielców poprzez pryzmat jednego zebrania.

Niesposób jest omówić w krótkiej recenzji wszystkich wydanych przez *Książkę i Wiedzę* reportaży. Dlatego też ograniczyłem się do wspomnienia utworów wyróżniających się dodatnio lub ujemnie, czy przez ciekawe ujęcie artystyczne. Wszystkie one prowadzą do jednego podstawowego stwierdzenia natury już ekonomicznej. Jest nim fakt, że elementem spośród którego rekrutowali się pierwsi spółdzielcy to w 90 proc. dawna służba folwarczna, która własną ziemię uzyskała dopiero z reformy rolnej, oraz osadnicy na Ziemiach Odzyskanych (dawni członkowie spółdzielni parcelacyjno-osadniczych, które na tych terenach powstawały już od 1946 r.) W jednym wypadku (Tomasz Domaniewski „Nowa Ziemia" — o spółdzielni im. Józefa Polki w Wojszycach) będą to repatrianci z Kanady. Wszyscy są ludźmi w warunkach dzisiejszej wsi wyjątkowo uświadomionymi politycznie, stykającymi się z ruchem robotniczym jeszcze przed wojną. Mieli oni dobre przygotowanie polityczne do podjęcia walki o socjalistyczną przebudowę wsi. Z drugiej jednak strony spotykali się ze znacznie większymi trudnościami ekonomicznymi (brak sprzętu, własnych mieszkań, słabe zagospodarowanie) niż chłopi, którzy dzisiaj zakładają spółdzielnie produkcyjne.

Rzucenie na rynek księgarski przez *Książkę i Wiedzę* reportaży o walkach i zwycięstwach pierwszych naszych spółdzielni produkcyjnych dzisiaj, kiedy mamy już ponad 3 tysiące spółdzielni i kiedy dowiadujemy się o powstawaniu w kraju setek nowych komitetów założycielskich, spełnią niewątpliwie ogromnie ważne polityczne zadanie.

Janusz Maciejewski

[1]) *Jan Baranowski — „Spółdzielnia nad zieloną wodą" — „Książka i Wiedza" — 1950; Julian Gałaj — „Czarnostów", Stanisław Piętak „Wczoraj i dziś", Teresa Chabowska „Spółdzielnia produkcyjna Grochów", Jerzy Pytlakowski „W Wysocicach pod Miechowem" L. Krasucki „Zdobycz chłopska", Adam Tarn „Zebranie w Piotrkowicach", Lesław Bartelski „Kania", Wiktor Woroszylski i Witold Zalewski „Rok walki i zwycięstw", Bohdan Czeszko „Drogi sytości", Kazimierz Koźniewski „Co z tego mają?", Zofia Dróżdż-Satanowska „Przyszłość w Kulicach" Wł. Skóra „Byłem w spółdzielni produkcyjnej", Tomasz Domaniewski „Nowa ziemia" — „Książka i Wiedza" — 1951 r.*

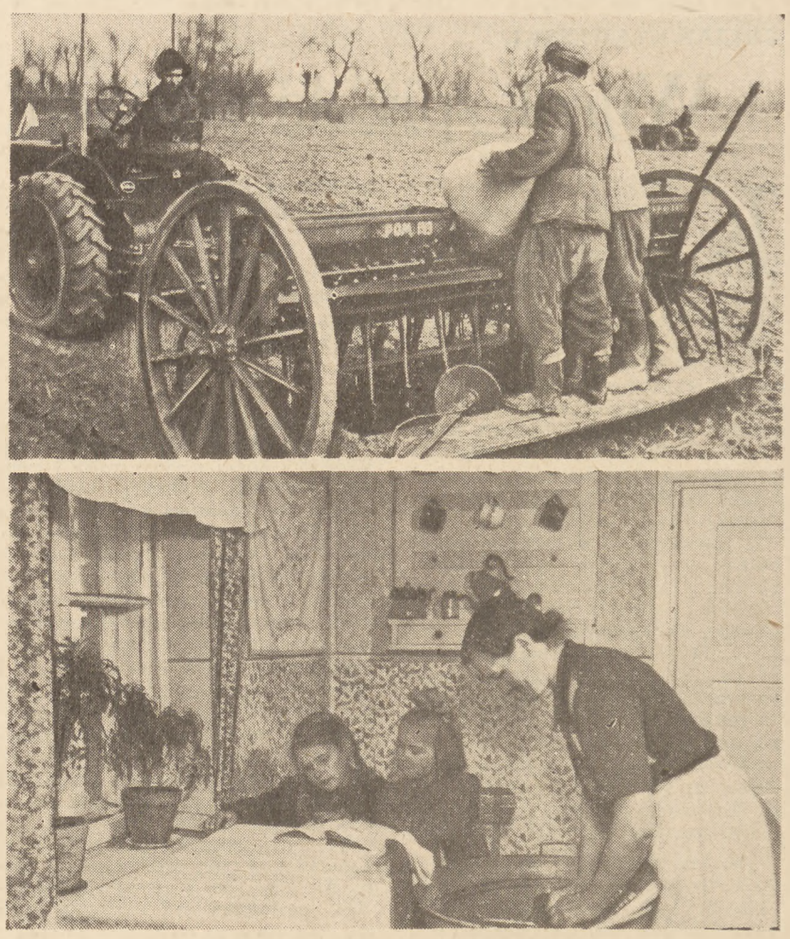

Foto CAF

STANISŁAW CIEŚLAK

O trafną i żarliwą publicystykę gospodarczą

W WYNIKU **świadomej** działalności władzy ludowej, realizującej rewolucyjny program klasy robotniczej i jej partii, rośnie w toku wykonywania Planu 6-letniego nowa, socjalistyczna baza ekonomiczno-techniczna w naszym kraju, toczy się ostra walka klasowa o zdobycie przewagi we **wszystkich** dziedzinach wytwórczości dla socjalistycznych stosunków społecznych, opartych na współdziałaniu ludzi w procesach produkcyjnych, a wyparciu i likwidacji kapitalistycznych stosunków społecznych, opartych na panowaniu, wyzysku i ucisku. Rok 1952, trzeci rok Planu 6-letniego, w którym udział gospodarki socjalistycznej ma wzrosnąć do 73 proc. w tworzeniu dochodu narodowego, jest okresem zasadniczego przełomu w budowie tej nowej, socjalistycznej bazy odpowiadającej okresowi przejścia od kapitalizmu do socjalizmu.

Osiągnięcie tego przełomu wymaga trzech warunków: p o p i e r w s z e — dalszego, szybkiego rozwoju sił wytwórczych a więc produkcja przemysłowa winna osiągnąć poziom niemal **cztery i pół razy wyższy** od poziomu produkcji przemysłowej Polski kapitalistycznej, produkcja rolna — poziom blisko **półtora razy wyższy** (w obu wypadkach na głowę ludności, zatrudnienie w zawodach poza rolniczych (w liczbach bezwzględnych) — poziom **dwukrotnie wyższy**, a dziesiątki i setki tysięcy pracowników produkcyjnych w przemyśle, rolnictwie i transporcie muszą podnieść znacznie swe kwalifikacje zawodowe, aby „posługiwać się nie tylko łopatą, ale i buldożerem, nie tylko pługiem ale i kombajnem, nie tylko młotkiem ale i najbardziej precyzyjną obrabiarką";

p o d r u g i e — konieczna jest dalsza, wzmożona ofensywa postępowych sił narodu polskiego, skupionych wokół klasy robotniczej i jej partii, na siły wsteczne, które z uporem i zaciekłością bronią dawnych stosunków produkcji, stosunków nie odpowiadających już nowemu stanowi sił wytwórczych naszego kraju;

p o t r z e c i e — należy uwieńczyć i wesprzeć te osiągnięcia produkcyjne i przemiany w stosunkach społecznych wielką ofensywą kulturalną, która by przyśpieszyła i pogłębiła proces narastania nowej, socjalistycznej nadbudowy, wyrastającej z bazy, ale nie będącej tylko jej biernym odbiciem.

„Nadbudowa — uczy Stalin — wyrasta z bazy, ale nie znaczy to bynajmniej, że jest ona tylko odbiciem bazy, że jest bierna, neutralna, że zachowuje się obojętnie wobec losu bazy, wobec losu klas, charakteru ustroju. Przeciwnie, skoro się zjawia, staje się ogromna aktywna siła, aktywnie dopomaga swej bazie w kształtowaniu się i utrwaleniu, czyni wszystko, aby dopomóc nowemu ustrojowi w dobiciu i zlikwidowaniu starej bazy i starych klas".

Liczenie na dalszy automatyczny wzrost poziomu sił wytwórczych (bez ciągłej mobilizacji mas pracujących dla wykonania planowych zadań produkcyjnych), łudzenie się, że elementy kapitalistyczne dobrowolnie wycofają się ze swych pozycji, jakie zajmują jeszcze w naszym ustroju (bez wzmożonej walki o ograniczanie i wypieranie tych elementów), czekanie na samorzutny rozrost elementów nowej nadbudowy (bez rozszerzania i pogłębiania rewolucji kulturalnej) — byłoby spełzaniem na pozycje wroga klasowego i haniebnym (w stylu titowskim) odwrotem na pozycje kapitalizmu.

Ogromną pomoc w tej walce, tam zwłaszcza gdzie właśnie w trzecim roku Planu 6-letniego przebiega ona z największym natężeniem, a więc na wsi, tam, gdzie stara baza i związana z nią stara nadbudowa ma jeszcze najrozleglejszy zasięg — odegrać może i powinna trafna, żarliwa **publicystyka gospodarcza.**

W warunkach bowiem przebudowy ustroju dla władzy ludowej, dla partii, dla każdego świadomego działacza terenowego, dla mas ludowych **„sprawa dokładnej znajomości działania decydujących o tej przebudowie dźwigni ekonomicznych i politycznych, sprawa dokładnej znajomości i sytuacji na wsi, przemian na wsi zachodzących, nasilenia i kierunku rozwojowego całego szeregu zjawisk społeczno-ekonomicznych — posiada zasadnicze znaczenie".**

„Więcej ekonomiki. Ale ekonomiki nie w sensie ogólnych rozważań, uczonych przeglądów, inteligenckich planów itp. Nie, ekonomika jest nam potrzebna w sensie zbierania, skrupulatnego sprawdzania i zgłębienia faktów rzeczywistego budownictwa naszego życia" — uczy Lenin.

Nasycenie prasy problematyką gospodarczą nie tylko ogromnie rozszerza możliwości twórczego współdziałania w budownictwie podstaw socjalizmu ze strony zawodowych dziennikarzy, publicystów i pisarzy. Nie tylko wzbogaca łamy pisma (podnosząc je niejednokrotnie do rangi publicystyki) nowymi nieznanymi prasie kapitalistycznej rodzajami dziennikarskimi od krótkiego listu korespondenta robotniczego lub chłopskiego, odsłaniającego bolączki i demaskującego winnych, poprzez satyryczną lub żartobliwą notę i odkrywczy essey lub reportaż aż do gruntownych, fachowych artykułów ekonomicznych, analizujących sytuację ekonomiczną i układ sił klasowych czy to na terenie całego kraju, czy w jednym, w większym lub mniejszym jego regionie. Niepomiernie również rozszerza krąg piszących do pisma, pozwala wyrosnąć do poziomu publicysty **przodownikom pracy** w przemyśle, dzielącym się swymi doświadczeniami z towarzyszami w kraju i za granicą, zachęca do pisania **chłopa - racjonalizatora** i przodownika, wiąże **zawodowego dziennikarza i pisarza** jeszcze ściślej z życiem i walką mas pracujących, rozszerzając niepomiernie ich możliwości twórcze, wciąga do współpracy w pismach masowych i społeczno-literackich **uczonych-ekonomistów**, zmusza niejednokrotnie do chwytania za pióro **działaczy i praktyków gospodarczych,** centralnych i terenowych.

Stanisław Cieślak

TEOFIL KOWALCZYK

LIST CHŁOPA – INWALIDY DO KOMISJI KONSTYTUCYJNEJ

Ja, Wnęk,
chłop na dziesięciu morgach,
pozdrawiam was, towarzysze.
W czterdziestym piątym służyłem w czołgach
i pod Świerczewskim parłem za Nysę.

Pod Dreznem w czołg mój — pocisk uderzył.
Ledwie ze życiem uszedłem cało.
Lecz nogę sztywną mam. Pół twarzy
po oparzeniu mi zostało.

Żałować? Płakać? —
Anim nie pisnął:
twardy jak stal
jest polski naród.
Walter w szpitalu
rękę mi ścisnął.
Był wieczór.
W okna mrok sypał szary.

Dziś przeczytałem projekt — do deski.
I... wilgoć w oczach
i coś... jak piasek...
Jakby się cieszył Walter-Świerczewski
z tych praw,
mej doli
i takich czasów!

Żyję.
Oddycham wreszcie jak człowiek.
Mam dom, a w polu szeleści zboże.
Koń jak smok w stajni.
W oborze krowy.
W izbie śmiech dzieci mądrych i dużych.

A dawniej? —
Machnął już lepiej ręką.
Dziś — inni ludzie. Dobrzy i dzielni.
By lepiej było jeszcze i
piękniej
do produkcyjnej
wstępuję spółdzielni.

Szkoda, że ojciec... Pomarł już, stary...
Nie dożył.
Widzę w krwi jego głowę.
Za to, że chciał mieć
prawo do pracy,
chleb jak ja
— zginął pod Łapanowem.

A matka? — Dwór ją wygnał z czworaków.
W mróz. W śnieg. Pamiętam, parzyło w palce.
A niby równość była.
Szliśmy pod Kraków
Siostra umarła na rękach matce.

Hej, złość podchodzi aże do gardła!
Knuje wróg — bankier.
Obszarnik marzy.
Zabili ojca. Siostra umarła.
Lecz ja mam jeszcze pół zdrowej twarzy!

Gdy czytam projekt — wiem czego trzeba:
na traktor — jak w czołg —
i dalej w pole!
Wróg by mi pragnął
wydrzeć kęs chleba.—
Lecz jeszcze jedną mam zdrową nogę!

Wam, towarzysze,
spod Wrocławia
salutuję — jak kazał w służbie generał.
Czczę to prawo, bom uniósł głowę z bezprawia.
Żyję w blasku, za który ojciec umierał.

Partia uczy.
Uczy, Świerczewski.
Za tę Konstytucję pójdę na ostre!
Nie wydrą mi jej. Nie wydrą już Polski!
Mojej i ojca,
i matki,
i siostry.

Teofil Kowalczyk

JULIAN STAWIŃSKI

Wyrok przekreślający konstytucję

KONSTYTUCJA Stanów Zjednoczonych powstawała w tym samym czasie, kiedy w Polsce zawiązany w nieustającą konfederację, przedostatni Sejm Rzeczypospolitej obradował nad środkami naprawy i ocalenia państwa. Nad Filadelfię i Warszawę nadlatywały już pierwsze podmuchy orkanu miotającego Francję, wstrząsy podziemne, od których miała zawalić się zmurszała budowla feudalizmu. Ziemia polska była jednak nazbyt zeskorupiała. Sejm Czteroletni nie zdołał odrobić zaległości bez mała trzech wieków. Dziewicza, na kolonizację oczekująca, rola amerykańska podatniej przyjęła siew myśli demokratycznej i republikańskiej. Choć i tam zdrowe ziarno zaśmiecili wrogowie postępu, ale upłynęło całe niemal stulecie zanim sypać się zaczął z kłosów złowieszczy proch. Tak więc na dwóch krańcach świata narodziny sprzęgły się ze śmiercią. Pieśni jakobińskie unosiły się nad kołyską przyszłego olbrzyma i ciemięzcy ludów, gdy z drugiej strony Atlantyku, gdzieś w dalekościach Europy Wschodniej rozlegały się pienia żałobne za Rzeczpospolitą Szlachecką.

„Twórcy Rewolucji wychodzili z dwóch podstawowych założeń suwerenności ludu i równości... — pisze znawca prawa konstytucyjnego, prof. Janusz Bryce i dodaje, przechodząc do zagadnień związanych z uchwaleniem ustawy zasadniczej Stanów Zjednoczonych — w latach 1787—89 — przekształcili luźną konfederację w ustrój federalny. Związali społeczność w naród, a naród w państwo przez nadanie konstytucji". Brzmi to podniośle i pięknie. Co więcej, każde z tych zdań z osobna zawiera sporą dozę prawdy. Nie można ich jednak uczynić ogniwami jednego łańcucha myślowego, nie można kłaść znaku równania między rewolucyjną walkę ludu amerykańskiego, a zamkniętym conclave filadelfijskiej konstytuanty, gdzie przewagę zdobyła sobie kontrrewolucja i zwycięstwo swe szybko przyoblekła w kształt instrumentu prawnego.

Dopiero burzliwy sprzeciw wolnych jeszcze a jednoczących się stanów narzucił Ojcom-Założycielom t.zw. Poprawki, liberalizujące uchwaloną przez nich ustawę. Już sam stosunek liczbowy jest tu znamienny: pierwotnych artykułów konstytucji było 7, poprawek zaś — 10. Pamiętajmy, że prawdziwie wolnościowe były tylko konstytucje poszczególnych stanów. Powstawały w ogniu wojny, kiedy suwerennych praw ludu i zasad równości nikt kwestionować nie śmiał, kiedy śpieszącym pod sztandary wojenne farmerom i wyrobnikom miejskim nikt nie odważał się zaprzeczać głosu w urządzaniu własnego kraju. Inaczej było z konstytucją federalną. Uchwalali ją delegaci stanów, z dala od wejrzeń farmerskich i robotniczych, a za to pod czujnym okiem kupców i spekulantów z wybrzeża, plantatorów z głębi lądu. Uchwalono ją pod nieobecność autorów rewolucyjnej Deklaracji Niepodległości, Jeffersona i Adamsa, odbiła się na niej fala reakcji powojennej, żerującej na powszechnym pragnieniu stabilizacji, pragnieniu wydobycia się z odmętów trudności gospodarczych, wywołanych przez wojnę i usamodzielnienie się kraju.

Głównym autorem konstytucji był Aleksander Hamilton, prawnik, monarchista o reakcyjnych poglądach, związanych z prawym skrzydłem kapitalistów. Był to człowiek niewątpliwie utalentowany, wykształcony i dalekowzroczny. Zdawał sobie sprawę, że rozwojowi kapitalizmu odpowiada najbardziej państwo jednolite, scalone pod względem form gospodarczych i prawnych, rządzone centralistycznie przez silny rząd poddany ścisłej kontroli szybko urastającej w potęgę klasy kapitalistycznej. Dla pozyskania wielkich obszarników konstytucja na nowo legalizowała niewolnictwo obalone, w zasadzie przynajmniej, jeśli nie w praktyce, przez Deklarację Niepodległości. Jak się wyraził Engels „zniesiono przywileje klasowe, uświęcono rasowe".

Nowa konstytucja nie znalazła uznania w oczach legislatur stanowych. Znaczne wpływy mieli w nich farmerzy liberalni, a nawet radykalni. Ci domagali się demokratyzacji fundamentalnej ustawy. Plantatorom odpowiadała jej reakcyjność, ale nie centralizacja. Ostatecznie przyjęto 10 artykułów dodatkowych, nazwanych „Kartą Praw". Z biegiem lat uzupełniono je dalszymi 10 Poprawkami. Tak powstała obowiązująca dziś konstytucja, złożona z przepisów w znacznej części ramowych i na tyle ogólnikowo ujętych, że pozwala to na zmienną w szerokim zakresie interpretację, zależną od woli tych, którzy dzierżą faktyczną władzę w państwie. Jest to jedna z przyczyn, dla których bezprawie, byle dość potężne, tak łatwo przedziera się w USA w nietykalną świętość opromienioną majestatem prawa.

Drugim powodem jest nieodpowiedzialność, jaką obdarza konstytucja władzę wykonawczą. Rząd Stanów Zjednoczonych nie jest rządem parlamentarnym. Ministrowie odpowiadają jedynie przed prezydentem, ten zaś jest nieusuwalny, chyba w trybie procesu o zdradę stanu. Wszechwładzę prezydenta, która jest najbardziej znamiennym rysem konstytucji, ogranicza wyłącznie prawo uchwalania, a więc i odmawiania kredytów, przysługujące kongresowi. Ale kongres to twór machiny partyjnej, podobnie jak mieszkaniec Białego Domu. A w jeszcze wyższym stopniu tworem machiny partyjnej jest federalny aparat sądowy. Sędziów dożywotnio mianuje prezydent, zatwierdza senat, lecz wyznacza machina bez uciekania się nawet do formalności wyborczych. Jądrem zaś partii jest pieniądz, wola — interes tego, kto dysponuje pieniądzem. Piękne słowa Lincolna o „władzy ludu, przez lud i dla ludu" zachowano w rekwizytorniach obu stronnictw. Zwężono tylko pojęcie ludu do tych, którzy mają większość głosów na zgromadzeniach akcjonariuszy trustów i koncernów. Tak zasadę większości rozumie dzisiejsza Ameryka.

*

John Marschall był w młodszych leciech żołnierzem armii rewolucyjnej. Widział z bliska niedolę wojsk i trudności kampanii, trudności wytyczenia dróg polityki państwa z racji bierności i bezsiły Kongresu Kontynentalnego, egoizmów lokalnych poszczególnych stanów, działania sił odśrodkowych po odpływie centralistycznej sieci władz angielskich. A potem oglądał zamęt gospodarczy, wywołany zerwaniem jednych więzi i nienawiązaniem nowych i przeraził się buntem farmerskim przeciw spanoszonym spekulantom, przeciw dławiącej ludność uboższą władzy pieniądza. Aż federalnych wojsk trzeba było wzywać na pomoc posiadaczy prześwietnego stanu Massachussetts, od których zrewoltowane pod wodzą Daniela Shays pospólstwo zażądało ofiar z majątku na rzecz ulżenia niedoli ogółu. Ale choć sam z gminu się wywodził, z postrzeżeń swych wysnuł wnioski stawiające go w rzędzie najzaciętszych szermierzy reakcyjnych idei Hamiltonowych. W roku 1801 został Sędzią Głównym Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych i odtąd przez lat 34 kierował organem naczelnym wymiaru sprawiedliwości, niezmordowanie wcielając te idee w życie.

Uchwalając akt Konstytucyjny i Kartę Praw, nie zawarował ustawodawca, kto ma być aktów tych interpretatorem. Wskazał tryb zmiany — uchwałą dwóch trzecich obu izb, zatwierdzoną przez dwie trzecie legislatur stanowych — ale nie wykładni. I oto już w drugim roku swego urzędowania John Marshall, imieniem trybunału, któremu przewodniczy, uroczyście ogłasza w niezaskarżalnym wyroku, że prawo wykładni „skodyfikowanej woli narodu" należy wyłącznie i jedynie do Najwyższej Ławy Sądowej państwa. Konstytucja — wywodził Marshall — ogranicza władzę Kongresu, stoi ponad Kongresem. Sędziowie powołani są do stania na straży prawa i praworządności. A zatem oni tylko władni są orzekać, czy jakiś akt, lub przepis jest w zgodzie, lub jest pogwałceniem fundamentalnej ustawy kraju. W toku instancyj w sposób ostateczny stanowi o tym Sąd Najwyższy USA.

Marshall jednak poszedł jeszcze dalej. Sądowi Najwyższemu przypisał nie tylko prawo badania zgodności ustaw i aktów władzy wykonawczej z konstytucją, ale i rozstrzyganie w sposób przez nikogo nie kontrolowany, rozstrzyganie według własnego swobodnego uznania o najskrytszych intencjach twórców konstytucji, o trafności i celowości ich sformułowań. W praktyce oznaczało to możność zmiany ustawy zasadniczej, zmiany fundamentu budowy państwowej drogą zwykłego, a niezaskarżalnego orzeczenia sądowego. Konstytucja — głosił Marshall — jest ponad Kongresem. A ponad konstytucją stawiał Sąd Najwyższy. Było to ciało najbardziej w państwie reakcyjne, złożone z sędziów nieusuwalnych i nieodpowiedzialnych. Teraz, dzięki marshallowskiej doktrynie, przemienili się ze strażników prawa i praworządności w czynnik polityczny, potężny instrument wstecznictwa, obojętny na wolę ogółu, gdyż od niej niezależny, zależny natomiast od własnych subiektywnych poglądów i sympatyj, czyli poglądów i sympatyj środowiska burżuazyjnego, z którego się rekrutowali i w którym się obracali. Nie stanowili kolegium „dziesięciu sprawiedliwych", a jeśli się taki wśród nich zdarzył — mógł tylko dać świadectwo prawdzie, własnej odwadze i uczciwości oraz zapamiętaniu, z jakim jego koledzy deptali prawo zamiast czuwać nad jego nietykalnością.

Tezy Marshalla wywołały oburzenie i gwałtowny sprzeciw ze strony całego obozu postępu. Jefferson, którego słów nie lubią przytaczać, lecz którego autorytetem lubią się osłaniać dzisiejsi manipulatorzy „demokracji" amerykańskiej, ostrzegał z najwyższym niepokojem, że jeśli doktryna Marshalla jest słuszna — „wówczas zaiste nasza Konstytucja jest całkowitym **felo de se** (samozniszczeniem). Albowiem zamierzając ustanowić trzy władze, skoordynowane a niezależne, aby nawzajem się kontrolowały i równoważyły, udzieliła, zgodnie z tą opinią, jednej z nich, i wyłącznie jednej, moc stanowienia zasad rządzących pozostałymi, i to tej właśnie, która, nie wybrana przez naród, jest od narodu niezależna... Konstytucja byłaby w takim razie woskiem w ręku sądowników, ugniatanym przez nich w kształt, jaki im się spodoba jej nadać. Należy pomnieć, jako wiekuisty pewnik prawdy politycznej, że wszelka władza rządowa niezależna od nikogo, jest przez to absolutna... Sąd niezawisły tylko od króla, czy władzy wykonawczej, jest rzeczą dobrą; ale niezawisły od woli narodu jest solecyzmem (podstawowym błędem) przynajmniej w republikańskiej formie rządu".

Ale Marshall miał możnych protektorów. Jego doktryna utrzymała się i zaciążyła nad całą historią USA. Pomińmy całe orzecznictwo Marshalla, dotyczące zagadnień dawno przebrzmiałych. Ograniczmy się do dwóch spraw najdonioślejszych w życiu Ameryki — niewolnictwa i faszyzmu. Jedna rozegrała się bez mała przed stu laty, druga toczy się dzisiaj.

W marcu 1857 przewodniczący Sądu Najwyższego sędzia Taney obwieścił, że wszelkie akty Kongresu i układy międzystanowe, ograniczające niewolnictwo do stanów południowych są z mocy prawa nieważne zaś Kongres nie jest władny zakazać uprawiania niewolnictwa na żadnym obszarze. Był to słynny proces Dred Scotta, pierwszy strzał wojny domowej. Epilog nastąpił dziesięć lat później w postaci uzupełnienia ustawy zasadniczej artykułami XIII, XIV i XV.

Gwałt prawa był oczywisty. Taney usiłował zachować cień legalizmu i respektu dla konstytucji przez upozorowanie wykładni rozszerzającej. Tak Hitler osłaniał się pozorami, gdy fałszował wybory przed objęciem władzy, a potem fingował proces o pożar Reichstagu przed skasowaniem praw obywatelskich. Epoka Trumana poszła dalej. Prześcignęła nie tylko Taney'a, ale i hitleryzm. Nie nadaremnie Ameryka jest krajem rekordów. W Rzeszy hitlerowskiej Sąd Najwyższy uniewinnił Dymitrowa, a fuehrer musiał mu pozwolić na opuszczenie Niemiec. Truman nie ma podobnych kłopotów. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych nie krępuje się ani szacunkiem dla norm prawnych, ani względami na normy etyczne. Z konstytucją obchodzi się tak, jak przewidział Jefferson: ugniata na wosk, a zbędne kawałki wyrzuca na bruk Alei Konstytucji przebiegającej w pobliżu klasycznego frontonu jego majestatycznej siedziby.

W czerwcu 1951 faszyzacja USA była daleko posunięta. Faszyzacja niemożliwa jest jednak bez odebrania narodowi swobody słowa, prasy i zgromadzeń. Pierwsza Poprawka Konstytucji, czyli art. I Karty Praw, stanowi wyraźnie, że „Kongres nie jest władny uchwalać żadnych ustaw ograniczających wolność słowa i prasy oraz prawa ludu do spokojnych zgromadzeń". Lecz Kongres taką właśnie ustawę — t.zw. Smith Act — uchwalił, a Sąd Najwyższy, rozpatrując sprawę 11-tu przywódców komunistycznych oskarżonych o jej naruszenie, wyrok skazujący zatwierdził, ustawę utrzymał w mocy i przekreślił przepis konstytucyjny. Przy ferowaniu orzeczenia sędzia Hugo Black nałożył votum separatum. Ten dokument to snop jaskrawego światła.

„Na wstępie — mówi sędzia Black — pragnę podkreślić czym jest, czym zaś nie jest przestępstwo, o które chodzi w tej sprawie. Petenci (komuniści wnoszący odwołanie) nie byli oskarżeni o usiłowanie obalenia rządu. Nie byli oskarżeni o żadne czyny zmierzające do obalenia rządu. Nie byli nawet oskarżeni o żadną wypowiedź słowną czy pisemną zmierzającą do obalenia rządu.

Zarzucono im, że postanowili gromadzić się, wypowiadać i ogłaszać pewne idee w terminie późniejszym: oskarżenie brzmi, że spiskowali w celu utworzenia Partii Komunistycznej i użycia w przyszłości mowy, lub czasopism i innych publikacyj dla głoszenia i propagowania obalenia rządu przemocą.

Bez względu na to jak to zostało ujęte, jest to jaskrawa postać cenzury prewencyjnej słowa i prasy, której, uważam, Pierwsza Poprawka zabrania. Uważam część 3 ustawy Smitha, wprowadzającą to prewencyjne ograniczenie za niekonstytucyjną zarówno w brzmieniu jak i zastosowaniu.

Przyjmijmy jednak, wbrew wszelkim konstytucyjnym pojęciom o należytym postępowaniu karnym, że petenci, jakkolwiek nie oskarżeni o przestępstwo rzeczywistego nawoływania, mogą być jednak za nie ukarani. Nawet przy tak radykalnym założeniu, jedynym sposobem zatwierdzenia wyroków, jak na to wskazuje votum separatum P. Sędziego Douglasa, jest drastyczne ograniczenie, lub też zupełne odrzucenie ustanowionej zasady „oczywistego i bezpośredniego niebezpieczeństwa". To właśnie czyni sąd w sposób niezmiernie ograniczający ochronę, jakiej udziela Pierwsza Poprawka.

Dla założycieli naszego narodu jednak, dobrodziejstwa płynące ze swobody wypowiadania się warte były podkreślenia. Wcielił ten pogląd w nakazie Pierwszej Poprawki, że Kongres „nie uchwali żadnych ustaw ograniczających wolność słowa i prasy... „Zawsze byłem zdania, że Pierwsza Poprawka jest kamieniem węgielnym naszego ustroju, że wolność, jaką zapewnia, jest najlepszą rękojmią przeciw zniszczeniu wszelkiej wolności.

Jak długo ten trybunał sprawuje władzę prawnej rewizji ustawodawstwa, nie mogę się zgodzić, by Pierwsza Poprawka pozwalała nam na utrzymanie w mocy ustaw zawieszających wolność słowa i prasy tylko na podstawie pojęć Kongresu, czy też naszych własnych o tym co „słuszne". Taka doktryna rozmywa Pierwszą Poprawkę tak dalece, że staje się mało czym więcej jak zaleceniem dla Kongresu.

Tak ujęta Poprawka nie może chronić żadnych poglądów poza „bezpiecznymi" czy ortodoksyjnymi, które ochrony jej rzadko potrzebują.

Gdy opinia publiczna jest taką jak teraz, niewielu będzie protestować przeciw skazaniu tych komunistów. Istnieje jednak nadzieja, że w czasach spokojniejszych, gdy obecne naciski, pasje i lęki zacichną, ten, czy też inny trybunał przywróci wolnościom Pierwszej Poprawki wysokie i dostojne miejsce, jakie im się należy w społeczeństwie wolnych".

Tyle sędzia Black. Dla uzupełnienia warto jeszcze przytoczyć słowa sędziego Jacksona, który przyłączył się zresztą do decyzji zatwierdzającej orzeczenie niższych instancji: „Nie wierzę w jakiś trwały skutek tego wyroku, nie wierzę, by mógł powstrzymać wzrost ruchu komunistycznego w Ameryce. Komunizm nie znajdzie się w więzieniu razem ze skazanymi komunistami".

Julian Stawiński

ZBIGNIEW NOWICKI

60-ta rocznica łódzkiego strajku

DZIEŃ LĘKU*)

W dniu 2 maja 1892 r. wybuchnął w Łodzi strajk powszechny. Przerażeni kapitaliści zebrali się na naradę w Grand Hotelu

Do Grand Hotelu, na oficjalne zebranie przemysłowców, na które przybyć miał podobno gubernator Miller, ostatni przyjechał swym powozem jeden z największych potentatów bawełnianych, Karol Kellermann.

Dzięki niedyskrecji jego szwagra Töpfera, prawie wszyscy fabrykanci łódzcy wiedzieli już o mistycyzmie Kellermanna, o zakurzonym pokoju jego najmłodszego, tragicznie zmarłego syna, o owym obrazie Brueghla, z którego wróżył mu syn, o przyszłych dziejach rodziny. Ciekawiło więc wszystkich jak Kellermann przyjął robotników w swej wielkiej fabryce. Byli przekonani, że przyjedzie przerażony i powita ich przepowiednią grożącego im upadku tak, jak to zrobił wobec Töpfera.

Tymczasem Kellerman przyjechał do Grand Hotelu elegancki, ubrany na ciemno, z cieniutką laseczką i w wysokim cylindrze, jak zwykle zachowywał się wyniośle wobec reszty fabrykantów i niespodziewanie poparł stanowisko Izraela Poznańskiego, który uważał, że w żadnym wypadku nie wolno godzić się na żądania robotników.

Izrael Poznański był uradowany. Odciągnął Kellermanna w róg hotelowego hallu i szeptał mu z uprzejmym uśmiechem:

— Panie Kellermann, pan jesteś prawdziwy fabrykant. Co to znaczy skrócić dzień pracy? Co to znaczy dać podwyżkę piętnastu procent? Ja wiem co to znaczy. To znaczy, panie Kellermann, stracić majątek. Pan wie, dlaczego Sztiller i Bielszewski chcą już o osiem procent podwyższyć stawki swoim robotnikom? Bo u nich jest pilne zamówienie odeskich kupców. Ale oni nie wykonają zamówienia, bo my nie zgodzimy się podnieść stawek nawet o jeden procent. U nas w magazynach jest dosyć barchanu. Oni nie wykonają zamówienia to odeskie kupcy przyjdą do nas. No nie, panie Kellermann? — cieszył się, cmokał z zadowolenia i zacierał ręce jakby miał w nich już przed chwilą zamówienie odeskich kupców. — A pan się nic nie bój. Strajk jest, strajku nie będzie. Przed godziną wysłaliśmy depeszę do samego warszawskiego jenerał-gubernatora Hurki. My będziemy mieli wojsko. — Wyciągnął z kieszeni pomiętą kartkę papieru.

„Trzydzieści tysięcy robotników rzuciło pracę i zmusza pozostałych do strajku, skutkiem czego grozi najwyższe niebezpieczeństwo. W imieniu wszystkich proszę najpokorniej Waszą Ekscelencję o nieodmówienie koniecznej, bezzwłocznej pomocy. Szajbler, Poznański". **)

— Szajbler, Poznański — rozkoszował się tymi dwoma nazwiskami. — No myślę, że ta depesza wystarczy. A pan co myśli, panie Kellermann? Dziś będzie z nami rozmawiał gubernator Miller...

Kellerman milczał. Denerwowała go drapieżna chciwość Poznańskiego, który nie tylko nie chciał podwyższyć głodowych stawek swych robotników, ale równocześnie zamierzał kupić olbrzymie plantacje bawełny w Turkmenii i zamierzał odebrać zamówienie innemu fabrykantowi. Po chwili milczenia odezwał się zimno:

— Ze Sztillerem i Bielszewskim rób pan, co się panu podoba. Ale mnie do tego szwindlu proszę stanowczo nie mieszać. Robotnikom swoim nie podniosę stawek, bo mi na to nie pozwala... No! Powiedzmy, honor fabrykanta. Majątku na tym bym nie stracił, bo mój majątek jest duży. Tak, duży, panie Poznański.

Gęste brwi Poznańskiego podniosły się do góry. Chciał zakląć, ale dość rychło mimo wściekłości uświadomił sobie, że rozmawia ze swym największym konkurentem i jednocześnie jednym z największych fabrykantów. Spróbował się uśmiechnąć.

— Czy ja powiedziałem, że nie mam honoru? Pan jest Niemiec, to pan możesz mieć honor, a ja jestem Żyd, to ja już nie mogę mieć honoru? Ja tyż mam duży majątek, ja tyż mogę stracić. Ja wybuduję swoim robotnikom szpital. Nawet szkołe. U mnie są już plany szpitala. Ja szkole, panie Kellermann, tyż wybuduję.

Ale Kellerman szedł już na spotkanie Szajblera, który wychodził właśnie z hotelowej restauracji. Obok Szajblera szedł gruby, czerwony na twarzy Sztiller, młody, wytworny Rozenblatt, Hirszberg i Biderman.

— Przedstawiam panu stronnictwo ugodowe — powitał Kellermana wytworny Rozenblatt.

— To jeszcze nie wszyscy — pośpiesznie dodał Szajbler. — Jeszcze za wnioskiem Sztillera ***) jest także Richter i Manaberg.

— A ja przeciw — powiedział Kellermann.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które przerwał Rozenblatt.

— Panie Poznański — zwrócił się do podchodzącego do nich Izraela Poznańskiego. — Nie pilnowaliśmy pana przez pięć minut i już złapał pan nowego stronnika. I to jeszcze jakiego. — Kellermanna.

— Panie Rozenblatt młodszy — odezwał się poważnie Poznański. — Pański starszy brat Szaja jest od pana mądrzejszy. On jest fabrykant tak jak pan Kellermann i ja. My jesteśmy fabrykanci. My mamy swój honor. Nam nasz honor nie pozwala podnieść robotnikom stawki o piętnaście procent. O osiem procent tyż nam nie pozwala. No nie? — zwrócił się do Kellermanna jakby przed chwilą nic między nimi nie zaszło.

Kellermann skinął głową. Szajbler zmarszczył czoło jakby zastanawiając się, czy z powodu zgody na podniesienie stawek robotnikom o osiem procent i skrócenia czasu ich pracy przestał być fabrykantem. Ale widać przypomniał sobie o swej olbrzymiej, zatrudniającej przeszło pięć tysięcy robotników fabryce, bo czoło mu się wygładziło. Rozenblatt uśmiechnął się drwiąco. On jeden zdawał sobie w pełni sprawę z cynizmu słów Poznańskiego. Nie mogło być mowy o honorze tam, gdzie cała sprawa szła o zyski lub straty. Gotowymi do ugody fabrykantami nie kierowało także współczucie dla nędzy robotników. Szajbler chciał podwyższyć stawki o osiem procent i skrócić swym robotnikom czas pracy, bo obawiał się, że jak kiedyś jego ojcu, zrozpaczeni tkacze mogą jemu porozbijać maszyny. A reszta: Richter, Hirszberg, Manaberg, Biderman i on, Rozenblatt, mieli po prostu pilne zamówienia. Chodziło nie o honor, a o kwestię zarobku.

— Pański młodszy brat tyż jest w moim stronnictwie — zwrócił się do Bidermana Poznański. — I Gajer. I Kunicer.

— Gajer jest tutaj? — zapytał Kellermann.

— Tak. Na górze, w małej sali.

Kellermann, a za nim część fabrykantów ruszyła wolno po schodach wyłożonych czerwonym dywanem. Na półpiętrze Rozenblatt przywitał się ze schodzącym z góry Teczewskim. Dziennikarz, którego złośliwe listy z Łodzi zamieszczano w warszawskim „Przeglądzie Ilustrowanym" budziły gwałtowne fale protestu ze strony fabrykantów łódzkich i mieszczan, był dziś wyjątkowo trzeźwy. Rozenblatt był także złośliwy i lubił złośliwych, nieliczących się z ludzką opinią. Z prawdziwą przyjemnością odczytywał kolejne fragmenty „Miasta niekochanego", korespondencji z Łodzi, w której odnajdywał dosadną charakterystykę „lodziermenschów", znajomych fabrykantów, specjalistów od pożarów i pobierania asekuracji, podpalaczy i spekulantów.

— No cóż? — zaczepił dziennikarza. — Widzi pan co się dzieje w tym „mieście niekochanym"? Kochana ta Łódź, kochana...

— O tak. Bo pan dobrze na niej zarabiasz. — Odciął się dziennikarz.

— Zarabiam? Ja teraz stracę przynajmniej pół miliona rubli.

— Zdąży pan to sobie odbić. Na skórze robotników.

— Tak pan przypuszcza? Ja lubię robotników.

— Bo można ich łupić ze skóry.

— Nie tylko. Przypuszczam, że mają rację...

— Coś podobnego!

— Tak. Tylko ja chcę, żeby oni mieli rację po cichu, a ja głośno. — Parsknął śmiechem zadowolony ze swego dowcipu. — Pana oczywiście raduje niezmiernie bunt robotników?

— Nie. O wiele więcej raduje mnie przestrach fabrykantów

— Czy ja się boję? — zapytał Rozenblatt.

— Zapewne z nadmiaru odwagi uciekł pan tylnym wyjściem ze swego pałacu, gdy przyszli do pana robotnicy z żądaniem podwyżki?

— Nie chciałem im robić przykrości osobistą odmową. — Powiedział Rozenblatt i szybko pożegnał się z dziennikarzem. Na myśl, że może w następnym fragmencie „Miasta niekochanego" odnajdzie wzmiankę o swej ucieczce przed robotnikami, rumieniec wypełznął mu na blade policzki.

W fatalnym humorze wszedł do sali, gdzie zebrali się łódzcy przemysłowcy.

W miękkich fotelach wokół prostokątnego stołu siedział jego starszy brat Szaja Rozenblatt, młodszy Biderman, Poznański i Szajbler. Kellermann z Gajerem stali pod wysokim oknem. W rogu pokoju kłóciła się głośno grupa fabrykantów: Richter, Manaberg, Kunicer, Hirszberg i starszy Biderman. Za Rozenblattem weszło do pokoju jeszcze kilku przemysłowców: Sztiller, Bielszewski, Hentzchl, Samuel Kon, Moric Princ i Hofmut.

Poznański podniósł się natychmiast z fotela i podbiegł wypytywać.

— Nic nowego — wzruszył ramionami Samuel Kon. — Stanęło jeszcze kilkanaście fabryk. O ile wiem, Krügera, Majerhofa, Joba, Eizenbrauna, Sztildta, Ratego, Szulca, Stephanusa i Geldnera.

— A moja idzie. Idzie i będzie szła — śmiał się Izrael Poznański.

— Idzie. Przed paroma dniami Maszyn****) wybił po gębie twoich robotników to i nie chcą teraz strajkować — powiedział Hofmut. — Ale to niedługo. Inni zmuszą ich na pewno do strajku. Obawiam się poważnie, że będziemy oglądali rzeczy, o których nam się nawet nie śniło.

— Tylko nas nie strasz. Sam się bój, ale nas nie strasz — wymachiwał rękami Poznański.

Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie.

— Proszę panów. Jego Ekscelencja Piotrkowski Gubernator Konstanty Miller — oznajmił wyniośle kapiący od złotych naszywek carski oficer.

Przemysłowcy podnieśli się z foteli. Energicznym, wojskowym krokiem wszedł do pokoju gubernator Miller. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę, skłonił głowę w stronę fabrykantów, podszedł do stołu i zajął podsunięty mu fotel. W pokoju trwało wyczekujące milczenie. Gubernator odebrał teczkę od towarzyszącego mu urzędnika i nie zwracając pozornie uwagi na otaczających go ludzi, zaczął przeglądać papiery.

Tyle razy strojąc się w togę obrońcy robotników krytykował postępowanie fabrykantów, tyle razy upokarzał ich, dawał im odczuć swą niechęć, że teraz nie wiedział naprawdę jaką wypada mu zająć wobec nich postawę. W każdym razie nie szkodziło upokorzyć ich raz jeszcze, raz jeszcze dać im do zrozumienia, że ich krociowe fortuny niczym są wobec funkcji gubernatorstwa i jego arystokratycznego pochodzenia. Starannie złożył teczkę z papierami.

— Taaak... — Powiedział przeciągając słowo i już miał zacząć długie, wykwintne zdanie, w którym chciał zwalić na fabrykantów całą winę za wywołanie strajku, ująć się za robotnikami i w końcu zdania zapewnić jednak fabrykantów o swej łaskawości, gdy do pokoju wszedł jakiś urzędnik niosąc mu depeszę od warszawskiego generał-gubernatora Hurki.

W depeszy, warszawski generał-gubernator, polecił Millerowi, aby ten nie zmuszał do pracy strajkujących robotników, natomiast karał tych, którzy przeszkadzają pracować innym. W razie rozruchów wśród robotników radził przywrócić natychmiast porządek przy użyciu broni siecznej i palnej. Poza tym Hurka wyraził nadzieję, że fabrykanci nie będą czynili robotnikom żadnych ustępstw.

— Taaak...— składając depeszę rozpoczął znów gubernator Miller. Ale tym razem powiedział inaczej, niż zamierzał poprzednio.

Zbigniew Nowicki

---

*) Fragment opowieści o buncie robotników łódzkich w 1892 r.

**) Depesza jest autentyczna.

***) Sztiller dał wniosek ugody z robotnikami.

****) Oficer żandarmerii.

ANDRZEJ SKIBA

7-ma rocznica wyzwolenia narodu niemieckiego

O JEDNOŚĆ, WOLNOŚĆ I GODNOŚĆ LUDZKĄ

JEDNĄ z ostatnich wizyt pożegnalnych przed wyjazdem do USA złożył Eisenhower swemu wiernemu współwyznawcy politycznemu — Adenauerowi. Było i przyjęcie — ciepłe i serdeczne — z udziałem Mac Cloya. Były i wypowiedzi dla prasy — ale choć krótkie mistyczne w swym braku konkretnej treści. Kandydat na gromowładcę waszyngtońskiego Olimpu rozpoczął kampanię prezydencką.

W Bonn? Właśnie w Bonn. Różne bywają sploty i zależności wydarzeń. „Układ ogólny" będzie miał wpływ niewątpliwy na układ sił w kontredansie wyborczym Stanów Zjednoczonych. Musi Adenauer pośpieszyć się z podpisaniem, by podbić cenę Eisenhowera na licytacji Trumanowego dziedzictwa. Więc uśmiech i ukłon i toast. Tak się żegnają ...spiskowcy przeciw woli dwóch ludów.

✻

„Czynniki urzędowe Waszyngtonu wyraźnie stwierdziły, że nie obchodzą ich intencje radzieckie. Wytknęły swój kurs i są zbyt sztywne, czy letargiczne, zbyt głupie, czy zacietrzewione, by zmienić go w jakichkolwiek okolicznościach.

Adenaur a z nim garść polityków wolą integrację Niemiec Zachodnich z Zachodnią Europą, niż utworzenie Niemiec zjednoczonych. Wolą — choćby dlatego, że ich szanse pozostania przy władzy byłyby absolutnie znikome, gdyby cały naród miał możność wyrażenia swej woli politycznej.

Ale dla mas niemieckich zjednoczenie jest sprawą najważniejszą. Ignorować to byłoby z naszej strony szczytem szaleństwa. Nie przeszkodziłoby to w zwerbowaniu kilku dywizji, ale zmieniłoby Niemców we wrogich nam potencjalnie przeciwników".

To potępienie polityki mocarstw zachodnich wychodzi z kół najgorliwszych baz burżuazji angielskiej — głoszą jej organy brytyjskiej Labour Party. Cóż ma do powiedzenia rządzący dziś odłam burżuazji — konserwatyści?

✻

Niemcy nie życzą sobie powrotu form starych — obwieszcza minister Eden, wnikliwy badacz woli narodów — nie chcą, by odżył pruski militaryzm i nacjonalizm. I snując dalej swe jasnowidzenia, subtelny znawca duszy niemieckiej odgaduje drogę jej ocalenia: nie pruski, lecz neochitlerowski militaryzm i nacjonalizm, tym razem prawdziwie sprzymierzony z Anglią, może nawet — na przekór Stanom Zjednoczonym...

Słychać oklaski. To Adenauer. Węszy dysonans anglo - amerykański — na rękę monopolom Westfalii i Ruhry.

Eisenhower, Adenauer, Eden — łowy w międzynarodowej dżungli kapitalizmu. Białowieża z amerykańskim Goeringiem.

✻

„Lud Niemiec Zachodnich musi zatroszczyć się o dobrą politykę niemiecką: jak najszybszego zjednoczenia narodu pod rządem jedności, wolności i godności ludzkiej".

To pisze zachodnio - niemiecki organ Kościołów protestanckich „Stimme der Gemeinde". Głos prosty i jasny i w swej nagiej prostocie nieomal tragiczny. Stwierdza bowiem, że w kraju, z którego Adenauer uczynił lenno Waszyngtonu brak jest elementarnych składników normalnego życia narodu. Ale głos protestantów niemieckich nie prosi, lecz żąda. I świadczy, że naród niemiecki, który raz uginął się pod naporem faszyzmu i dał się zaprząc w nieludzki rydwan Hitlera, tym razem nie cofnie się, aż nie wywalczy tego, co niegdyś utracił zanim jeszcze zdobył, co dziś już urzeczywistnia na części swego obszaru — nie spocznie, aż wywalczy sobie wolność, niepodległość i godność ludzką, a wraz z tym — zjednoczenie.

✻

„Zachodowi nie zależy bynajmniej na zjednoczeniu Niemiec — pisze Paul Sethe we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" — Amerykanie uważają je za rzecz niewczesną i niepożądaną".

Dlatego Eisenhower narzuca „układ ogólny", dlatego Adenauer marzy o faktach dokonanych: utrwaleniu swej władzy za cenę sprzedaży własnego kraju. Tak przed laty feudałowie sprowadzali wroga przeciw sięgającemu po wolność ludowi. Targowica klękała u stóp Katarzyny i Fryderyka, arystokraci francuscy za garść złota sprzedawali Pittowi rewolucję i Francję.

Magnaci Ruhry mają więc licznych przodków. I dla nich zjednoczenie jest „rzeczą niewczesną i niepożądaną". Jedność Niemiec to demokracja, to kres władzy wielkich koncernów i odwetowców. I słusznie gazeta frankfurcka stwierdza, że „nie ma dwóch formuł zjednoczeniowych: ZSRR chce zjednoczenia, Zachód go nie chce".

✻

Zjednoczenie, czy „układ ogólny"? Któż w Niemczech waha się w wyborze?! Nie bez powodu uchyla się Adenauer od ujawnienia tekstu dokumentu, który oddaje całe państwo bońskie w całkowite władanie Stanów Zjednoczonych i czyni zeń na stałe kolonię amerykańską; który odbiera mu wszelką samodzielność, uprawiając prokonsulów USA do ogłaszenia stanu wyjątkowego ilekroć tego zapragną; który uwiecznia okupację zbrojną, a wojska niemieckie czyni armią zaciężną rzucaną po wszystkich kontynentach na każde skinienie Waszyngtonu — mocą decyzji amerykańskiego dowódcy; który wreszcie przekreśla wszelką możliwość pokojowego zjednoczenia Niemiec, gdyż zastrzega wówczas automatyczne rozszerzenie „układu" na cały kraj.

✻

W Essen i Kolonii, Hamburgu i Duesseldorfie, wciąż jeszcze leżą w gruzach domy robotnicze zburzone zamiast przemysłu wojennego przez amerykańskie bombowce. Życie jest trudne, każdy dzień powszedni jest palącą troską. Ale dziś sprawa zjednoczenia i sprawa pokoju górują ponad wszystkim, stały się treścią, warunkiem i celem istnienia. „Wszędzie i w każdej porze o tym się tylko mówi!" — woła „Kasseler Zeitung". Sprawy te wytrąciły z inercji chłopa i mieszczucha, rzuciły ich na ulicę w jednym szeregu z robotnikiem, we wspólnej manifestacji. Front narodowy stał się rzeczywistością. A wzrok każdego kieruje się na Wschód, skąd padło hasło, skąd płynie żądanie: JEDNOŚĆ, NIEPODLEGŁOŚĆ, DEMOKRACJA, POKÓJ!

✻

Front narodowy rozrasta się, utrwala, umacnia. Ma mocny kościec — klasę robotniczą. Walczą również zdecydowanie o front narodowy robotnicy zrzeszeni w partii Schumachera. Na wiecu w Selb, we Frankonii zapada jednogłośna uchwała; zażądać od Schumachera, by przybył do Selb razem z Maxem Reimannem, przywódcą partii komunistycznej, i by obaj wypowiedzieli swój pogląd. Robotnicy chcą współdziałania partii robotniczych, ścisłej współpracy, zjednoczenia wysiłków swej klasy.

Takie uchwały zapadają jedna po drugiej. Selb, to dziś nazwa setek miast, miasteczek i miejscowości. Na wielkim zebraniu socjal - demokratyczny w Muenster delegat syndykatu robotników budowlanych, Meyer zyskał poparcie wszystkich niemal obecnych, gdy powiedział: „W nocie swej Związek Radziecki wyraził aspiracje całego narodu niemieckiego; w chwili obecnej jest obowiązkiem każdego socjalisty uczynić wszystko dla najszybszego zawarcia traktatu pokoju i urzeczywistnienia jedności".

✻

W krętych uliczkach Monachium, w ogródkach piwnych zachichły ochrypłe głosy przywróconych do łask okupanckich czarnych SS, świętujących zbratanie z „pogromcami Korei". Ulicami przeciąga manifestacja pokoju. W Essen, skonsygnowana policja strzela do demonstrującej młodzieży. Lecz demonstranci są wszędzie, demonstrują dorośli i młodzi, starzy i dzieci, cały naród. Młoda kobieta z dzieckiem na ręku woła z rozpaczą: „Nie chcemy, by nasze dzieci myślały, że pokój jest czymś, co znali tylko ich dziadowie. One też muszą wreszcie zaznać życia w pokoju!"

Chłop z Hohenfels, wygnany ze swej ziemi wraz z wielu innymi przez władze amerykańskie, mówi na zebraniu: „Traktat pokoju jest nam potrzebny jak chleb powszedni. Przywróci spokój Europie, jedność naszej ojczyźnie i ziemię naszym chłopom!"

✻

W Hamburgu sto dziesięć tysięcy bezrobotnych uchwala jednomyślnie: „Żądamy, by Senat miasta poparł z całej mocy wszelkie wysiłki na rzecz pokoju. Żądamy przyjęcia propozycji radzieckich. Traktat pokoju na nich oparty skończy raz na zawsze z nędzą bezrobocia".

W Hamburgu przed redakcją „Hamburger Freie Presse" gromadzi się tłum. Czytają artykuł wstępny gazety: „W Niemczech człowiek ulicy żąda, aby wszystkimi środkami zmierzano do porozumienia Zachodu i Wschodu. Dość ma płacenia rachunków wystawianych przez wojowniczych dyplomatów. Człowiek ulicy, zawsze wysyłany na pierwszą linię frontu w wypadku wojny, oczekuje dziś, że mężowie stanu i dyplomaci pójdą z nim razem drogą pokoju i porozumienia między Zachodem i Wschodem. I ma rację!"

Jeśli narody wezmą w swe ręce sprawę pokoju... To właśnie staje się rzeczywistością niemiecką.

✻

Dr Joseph Wirth, były kanclerz Niemiec i były przywódca katolickiego Centrum pisze w tygodniku francuskim, gdyż prasie Trizonii cenzura Adenauera nie pozwala ogłosić artykułu: „Z niemieckiego punktu widzenia mogę stwierdzić, że w Niemczech Wschodnich Związek Radziecki zlikwidował „wojnę Trzeciej Rzeszy". Rosja nie wkroczyła nigdy do Niemiec, czy Europy, chyba gdy była zaatakowana. Tak było wczoraj, tak będzie jutro. Nie chodzi o politykę, lecz o złą wolę, gdyż mężowie stanu Zachodu odrzucają propozycje Związku Radzieckiego. Rząd radziecki ogłosił, że drogą zapewnienia bezpieczeństwa dwóch światów, dwa systemy gospodarcze, dwa ustroje państwowe mogą dojść do współpracy gospodarczej i politycznej. Oto droga jasna i jasno określona, której następstwa i rozwój łatwo przewidzieć. Z drugiej strony następstwa są nie do przewidzenia, gdyż igra się tam z niebezpieczeństwem wojny. Wybór jest prosty".

✻

Harold Schulze jest skromnym funkcjonariuszem jednego z licznych syndykatów robotniczych w Hamburgu. Harold Schulze jest socjal-demokratą. Wierzył Schumacherowi i dotąd jeszcze liczy na niego. Liczy, ale donośne wołanie ze Wschodu wydarło go z postawy bierności. Wciąż jeszcze liczy na swoją partię, ale już teraz wskazuje jej drogę. Harold Schulze pisze do kierownictwa: „Socjalistyczna Partia Jedności i Partia Komunistyczna wyciągnęły do nas dłoń. Trzeba ją przyjąć. Od was teraz zależy decyzja. Od was teraz zależy, czy organizatorzy wojny będą musieli zaprzestać swych przygotowań. Wszyscy socjaliści powitali gorąco notę radziecką, nową wielką sposobność utrwalenia pokoju świata. Adenauer odrzucił ją, gdyż chce Europy amerykańskiej po Ural, stworzonej siłą miecza. Wy możecie go zmusić, by przestał sabotować zjednoczenie, by przestał sabotować traktat pokoju!"

Ten list ogłosiła prasa zachodnioniemiecka, czytali go towarzysze Harolda Schulze i myślą jak on. Nie chcą Europy amerykańskiej, której gorzki przedsmak widzą dokoła siebie i czują na własnej skórze, nie chcą być giermkiem Ameryki, nie chcą dźwigać jej miecza. Towarzysze Harolda Schulze, doły socjal-demokratyczne, w Hamburgu i Monachium, Bawarii i Westafalii odrzucają politykę kierownictwa i wołają o jedność, wolność i godność ludzką.

Schumacher nawołuje do „spokoju i dyscypliny". Ollenhauer składa na ręce Mac Cloya niepewne obietnice „przywrócenia porządku" w szeregach swej partii. Niepewne, gdyż doły coraz bardziej stanowczo objawiają swą wolę, coraz jaśniej widzą, że serce Niemiec bije na Wschodzie.

✻

Literatura niemiecka obfituje dziś w szereg nazwisk wybitnych, w szereg świetnych piór. Anna Seghers, Bert Brecht, Fryderyk Wolff, Jan Petersen, Rudolf Leonhard, Bodo Uhse, Willy Bredel, Hans Marchwitza, Johann Claudius... lista jest długa. A wszyscy mieszkają na Wschodzie, a twórczość wszystkich jest postępowa. Uderzająca jest zbieżność tej sytuacji z układem stosunków w Stanach Zjednoczonych. Tam nie ma wewnętrznych kordonów granicznych, faszyzujący się ustrój ogarnia cały kraj, geograficzna linia demarkacyjna przebiega najczęściej wzdłuż murów więziennych. Lecz linia podziału w literaturze jest ta sama: nie ma pisarzy wybitnych w obozie reakcji, wszyscy wybitni pisarze działają w obozie postępu.

Z Berlina, z NRD płynie głos kultury niemieckiej, idącej naprzód, coraz żywszej, coraz bujniejszej. Ludziom i ziemiom Niemiec Zachodnich poświęcili pisarze niemieccy wiele znakomitych utworów. W ciągu siedmiu lat powojennych ani jeden utwór wybitny nie zrodził się na tych ziemiach, choć obszar ich jest o tyle większy, choć mieszka na nich większość narodu.

Tak, serce Niemiec bije na Wschodzie. Stamtąd idą impulsy życia i tam wykuwa się przyszłość. Hitlerzy przychodzą i odchodzą — mówi Stalin — a naród niemiecki i państwo niemieckie pozostaje. Hitler przeminął i przeminą ci wszyscy, którzy chcą Niemcy rozbić, budując na tym nadzieję rozpętania wojny. A naród niemiecki pozostanie i pozostanie państwo, budowane już dziś na Wschodzie i zdobywane w Niemczech Zachodnich w trudnej, lecz coraz bardziej zwierającej siły społeczeństwa walce o jedność, wolność i godność ludzką.

Andrzej Skiba

ZOFIA RZEPLIŃSKA

DROGI UPADKU I OCALENIA

PIERWSZY rozdział „Ocalenia" Anny Seghers ukazujący katastrofę w kopalni węgla i ocalenie życia siedmiu górników — po wielu dniach przebywania w zasypanej sztolni — stwarza sugestię, że tytuł powieści uformował się w nawiązaniu do tego wydarzenia. Dalszy rozwój akcji wyraźnie jednak zaprzecza takiemu wnioskowi. Problem o c a l e n i a przenika bowiem całą powieść i daleko wykracza poza stosunkowo wąski teren bezpieczeństwa i katastrofy kopalni. Cień katastrofy jest wprawdzie obecny w całej powieści — ale jest tam mowa nie o losach kilku czy kilkunastu górników, lecz o losach całego narodu. Wstrząsający opis na wstępie powieści spełnia podwójną rolę; wprowadza czytelnika w krąg stosunków społecznych, typowych dla kapitalistycznych kopalń — z drugiej zaś strony stanowi chwyt kompozycyjny, osadzający we właściwym klimacie politycznym życie miasteczka w Zagłębiu Ruhry w latach 1929 — 1933.

Na skutek przemian — dla antyhitlerowskiego ruchu oporu w Niemczech o c a l a ł jeszcze jeden oddział gotowych do całopalnej ofiary bojowników, ochraniających zdrowe elementy narodu, aby stały się zawiązkiem dla budowania przyszłości w nowej epoce. Powieść Anny Seghers odsłania historię tych ludzi, historię dojrzewania ich światopoglądów i pierwszej żołnierskiej zaprawy do walki.

Akcja powieści zaczyna się w listopadzie 1929 r. — wchodzimy więc w okres „gabinetu Brueninga", którego kadencja nosiła już wielce symptomatyczne cechy przejścia od burżuazyjno parlamentarnego ustroju Republiki Weimarskiej do dyktatury faszyzmu. Bruening wywodząc się z prawicowego Centrum przejdzie do historii jako ten premier, który jeszcze przed Papenem torował drogi Hitlerowi, t.zn. z miejsca okazał nadzwyczajną gorliwość „wszechstronnej" pomocy w stosunku do przemysłowców, bankierów i junkrów. Kiedy zaś kryzys gospodarczy dosięgnął szczytu, opanowywał trudności kosztem podwyższania podatków, ściąganych z mas pracujących, kosztem zmniejszania zasiłków dla sześciu milionów bezrobotnych, wreszcie kosztem obniżki płac. Kredyty, pomoc finansową otrzymywały tylko olbrzymie przedsiębiorstwa, te, które wydźwignęły swym złotem NSDAP do roli wszechwładnej partii — małe bankrutowały, powiększając pauperyzację mas drobnomieszczańskich. „Ocalenie" pokazuje charakterystyczny dla nieszczęsnego końca Republiki Weimarskiej obraz ostatnich jej lat: obraz klasy robotniczej spychanej przez kapitał w przepaść bezrobocia, zamykanie przedsiębiorstw kopalnianych, wyrzucanie setek tysięcy ludzi na bruk itd. Konsekwencje tej polityki biegną podwójnym torem. Na jednym z nich obserwujemy w tym okresie wśród robotników niemieckich bezwładność psychiczną, marazm, otępienie, skłonność do bezkrytycznego i bezwolnego poddawania się każdej sile, dzięki której pojawi się znów chleb na stole — na drugim zaś skupia się bunt, pogłębia świadomość klasowa, kłębią nastroje rewolucyjne i rozwija w konkretną siłę zalążek antyhitlerowskiego podziemia. Zasługą znakomitej pisarki demokratycznych Niemiec jest pokazanie tego podwójnego nurtu ówczesnego życia społecznego. Seghers odważnie zdziera zasłonę z najhaniebniejszego okresu w historii swego narodu, aby pomóc w analizowaniu błędów, aby tym ofiarniej walczyć przeciwko ich następstwom i pozostałościom.

W twórczości Anny Seghers, w twórczości innych pisarzy niemieckich, walczących w światowym froncie postępu i pokoju wciąż przewija się jako motyw naczelny, problem — DLACZEGO? Dlaczego pozwoliliśmy zbirom z NSDAP wziąć władzę w swoje ręce? Dlaczego na ziemi niemieckiej wyrosły kominy krematoriów obozów koncentracyjnych? Dlaczego zmarnowaliśmy wielowiekowe tradycje wolnościowych zmagań naszego narodu, dlaczego pozwoliliśmy na zaprzepaszczenie ducha Muenzera i Lessinga, Marksa i Goethego, Engelsa i Schillera, Heinego i Bebla, Humboldta i Liebknechta i innych bohaterów wielu niemieckich pokoleń walczących przeciw reakcji? Dlaczego pozwoliliśmy na załamanie się wspaniałej szansy rewolucji w 1918 r.? Dlaczego patrzyliśmy biernie, jak rządy Republiki Weimarskiej ześlizgiwały się po równi pochyłej monopolów aż do państwa Hitlera?

Najpełniejszą, najlepiej dialektycznie opracowaną analizę tych zagadnień otrzymujemy w innej powieści Seghers p.t. „Umarli pozostają młodzi". W świetle pisarskiego reflektora zataczającego olbrzymi łuk od zakończenia pierwszej wojny światowej aż do początku klęski Hitlera na froncie wschodnim, widać wyraźnie główne przyczyny najczarniejszej karty w historii narodu niemieckiego. Znakomicie pogłębione wątki tematyczne pozwalają na dokładne rozeznanie się w roli wielkiego kapitału Niemiec, który szukał „człowieka z odpowiednio chytrym programem" dla otumanienia narodu i wciągnięcia go na drogę zbrojeń i ekspansji. Tragiczna postać socjaldemokraty Geschkego, posuwającego się po omacku, raczej drepczącego w miejscu pod brzemieniem kompletnej dezorientacji politycznej i samotność walczących w podziemiu komunistów, to symbol rozbicia w ruchu robotniczym Niemiec, rozbicia, które tak potężnie zaważyło w przechyleniu się wyników zmagań klasowych tamtego okresu na korzyść junkrów i monopolów.

Obraz samotności bohaterów niemieckiego ruchu oporu najmocniejszy akcent uzyskuje w „Siódmym Krzyżu". W powieści tej wstrząsająco udowodniona wina mas niemieckich stanowi dziejowe oskarżenie i jednocześnie dziejowe memento dla narodu. Anna Seghers pokazuje, że brak konsolidacji w szeregach robotniczych powoduje rozbicie i osłabienie siły bojowej mas ludowych, że unicestwia nie tylko jej możliwości ofensywne, ale pozbawia w ogóle możliwości samoobrony i wydaje bezradną pod obstrzał faszyzmu. „Ocalenie" uzupełnia tę analizę, pokazuje bezsilność demokracji niemieckiej w okresie narastania hitleryzmu od strony braku świadomości klasowej i wyrobienia politycznego w niektórych środowiskach robotniczych tamtego okresu. Ta świadomość rodzi się w ogniu ciężkich doświadczeń i pod wpływem kontaktów z ruchem oporu — ostateczne skrystalizowanie jej w decyzję nieubłaganej walki stanowi właśnie o o c a l e n i u. Zanim jednak zjawiła się szansa ocalenia, mamy w powieści do czynienia z tłumem ludzi pozbawionych jakiejkolwiek orientacji, bezradnie kręcących się w miejscu wkoło swych trosk, przygniecionych nędzą, której przyczyn nie rozumieją, brakiem perspektywy poprawy, jęczących pod ciężarem wciąż potęgującego się ucisku, z którym nie tylko nie umieją walczyć, ale w ogóle nawet nie mogą dorozumieć się, jakie są jego źródła, jakie cele i związki. Wielce charakterystyczny jest np. fakt, że górnicy początkowo zwracają się właśnie do Komisji dla Bezrobotnych oczekując od niej pełnego rozwiązania swoich trudności bytowych. Przez dłuższy czas nie możemy się doszukać w tłumie w Findlingen żadnej postaci, która by mogła reprezentować świadomych, upolitycznionych robotników. Nieświadomość, niezdecydowanie, chwiejność, bezwład psychiczny — oto główne elementy atmosfery przenikającej światek górników z kopalni Montana. Bezrobocie ciąży nad nimi nie tylko koszmarem głodu, wytwarza również depresję psychiczną, poczucie upokorzenia, działa destrukcyjnie pod względem moralnym, wprowadza nastrój rozprzężenia, poczucie bezcelowości i bezsensowności życia itp.

Główny bohater powieści, rębacz Bentsch skupia w sobie zasadniczą koncepcję ideową powieści. To on przewodzi ocaleniu w kopalni, ocaleniu w sensie fizycznym i on jest pierwszym w Findlingen, który schodzi w podziemie jako świadomy bojownik przeciw hitleryzmowi. Ale między tymi dwoma zdarzeniami, z których każde jest symbolem, mającym wyrazić ścisły związek pomiędzy walką o życie i szczęście jednostki i walką o wolność społeczeństwa, leży kilka lat w życiu Bentscha, wypełnionych jałową pustką dni, ciężką udręką duchową, szamotaniem się wśród męczarni psychicznych, w nękającym poczuciu „bezwyjściowości". Ale potem zjawia się postać młodego komunisty Lorenza, wnoszącego w krąg rozmyślań i przeżyć Bentscha palącą konieczność analizy otaczającej go rzeczywistości. Dawniej Bentsch gorąco współczuł i bolał nad nędzą swych towarzyszy, własną, przeżywał złamany bezradnością swego rozumu i bezużytecznością swych rąk, nie pytał jednak nikogo ani siebie samego: dlaczego. Teraz zjawiło się to zasadnicze pytanie i wraz z nim zaczął odradzać się człowiek.

Odtąd Bentsch będzie narażony ustawicznie na więzienie i tortury Gestapo, drukować i rozdawać ulotki antyfaszystowskie. Odtąd będzie duszą tych strajków w ośrodkach górniczych Zagłębia Ruhry, które stanowiły jeden z czołowych elementów walki niemieckiego ruchu oporu przeciwko polityce Hitlera. Odtąd będzie wyjaśniał towarzyszom trudne zagadnienia walki klasowej i wpajał w ich otępiałe nędzą mózgi, że „kumpel" z Afryki jest jednak im bliższy niż dyrektor kopalni, mimo, że mieszka tak daleko — i że łatwiej im przyjdzie dogadać się z nim, niż z tym dyrektorem, mimo, że nie zna języka niemieckiego. Odtąd będzie coraz mniej takich na zebraniach w knajpie Aldingera, mieszkaniach czy na ulicach, którzy nie rozumieją znaczenia związku proletariuszy całego świata przeciwko dyrektorom kopalń całego świata, coraz więcej takich, którzy zaczynają szukać pozytywnych wzorów w PAŃSTWIE, gdzie przestało istnieć bezrobocie, gdzie robotnicy, tacy jak oni, potrafili nadać sens i piękno swojemu życiu — otworzyć perspektywy wspaniałego rozwoju dla swoich dzieci. Ciężko i opornie szła ta nauka wśród mas niemieckich. Anna Seghers nie szczędzi obrazów trudu, chwilami zdawałoby się już beznadziejnego, antyfaszystowskich bojowników.

— „Wczoraj byłem na zgromadzeniu nazistowskim — opowiada komunista Lorenz swojemu towarzyszowi.— Ach, Albercie.

— Ach? Co za „ach" znowu?

— O wiele łatwiej jest zrozumieć wszystko to, co u nazistów jest fałszywe, niż to, co u nas jest prawdziwe... Tylko nasz ruch musi się przedzierać przez okropne trudności, przez coś najtrudniejszego. A i bez tego jest dosyć ciężko. A ludzie chcą wreszcie zaznać szczęścia niezwłocznie, raczej niech to będzie jakieś małe szczęście, przebrnąć. Musimy pokazać przekonująco właśnie szczęście, które się kryje za tym najcięższym, przez co musimy przebrnąć..."

Anna Seghers tłumaczy, dlaczego tak biernie większość społeczeństwa niemieckiego szła na „faszystowski kurs" — nie usprawiedliwia jednak nikogo. Ta powieść jest tak samo oskarżeniem jak „Siódmy Krzyż", jak „Umarli pozostają młodzi" ,jak inne. Zagadnienie „niemieckiej winy" zostało tu oświetlone od strony nieuświadomienia i bierności mas, ale z innych książek Anny Seghers dowiadujemy się, że zwycięstwo wielkiego kapitału, uzbrojonego w drapieżne pazury faszyzmu nie tylko na bierności mas bazowało. Nie byłoby bierności, gdyby istniała konsolidacja w szeregach opozycji. Istniałaby konsolidacja, gdyby nie było rozbicia — grzechu pierworodnego w niemieckim ruchu robotniczym, faktu, który tak straszliwie zaważył na dziejach Niemiec. Na przykładzie „Ocalenia" widać jaskrawo, jak mści się agenturowa taktyka góry partii socjaldemokratycznej, nie dopuszczająca do jednolitego frontu z komunistami, wyprowadzająca masy robotnicze na manowce „porozumień" z przedsiębiorcami, manowce kompletnej dezorientacji politycznej, pozwalającej na nawiązanie jakichś nadziei z planami Hitlera itp. Autorka nie szczędzi czarnych barw dla odmalowania błędów środowiska, zarażonego bakcylem bierności. Nastrój „Ocalenia" jest ciężki, przytłaczający, postacie wręcz odpychają czasami swoim mętnym, jałowym ustosunkowaniem się do rzeczywistości. Nawet sylwetki głównych bohaterów są przez długi czas właśnie takie — a otaczająca ich atmosfera niewiele ma wspólnego z wielkością świadomej walki rewolucyjnej. Wpływa na to także niezmiernie charakterystyczne dla metody pisarskiej Anny Seghers unikanie techniki „czarno-białej", pokazywanie bohaterów również od strony ich słabostek i błędów. Zresztą ta nadzwyczajna wierność dla najróżniejszych elementów charakterologicznych i sytuacyjnych wydaje się w „Ocaleniu" przesadzona, zahaczająca niekiedy o krawędź psychologizmu i naturalistycznej faktografii.

Mnogość szczegółów nie zawsze pomyślnie wpływa na pełnię obrazu. Dar niesłychanie ostrego widzenia, umiejętność niezmiernie precyzyjnej, niezmiernie wnikliwej obserwacji, sprawiająca w „Ocaleniu" aż wrażenie ustawicznych, męczących obsesji wzrokowych, wpływa na pewne zachwianie proporcji pomiędzy tłem a poszczególnymi „aktywnymi" wątkami tematycznymi powieści. W wyniku tego zachwiania — problematyka „Ocalenia" nie przez cały czas jest tak krystalicznie wyraźna jak w „Siódmym Krzyżu" lub w „Umarli pozostają młodzi". Rozwój zasadniczej myśli ideowej chwilami zaciera się w natłoku zbędnych, naturalistycznie potraktowanych szczegółów. W ostatecznym wyniku jednak wielka jest wartość poznawcza tej książki; stanowi ona cenną pozycję uzupełniającą obok innych wspaniałych powieści Seghers.

Zmagania wewnętrzne nieuświadomionego proletariusza z własną niewiedzą, po to, aby pokonać ją i stanąć do walki z faszyzmem, pokazane zostały w „Ocaleniu" z przekonywającą wyrazistością. „Gdyby mi Lorenz opowiadał o haniebnym traktacie, o Żydach, o tym systemie, gorąco i namiętnie, a nie jak Andrzej blado i bez związku — myśli Bentsch podczas rozmowy z młodym hitlerowcem — czy byłoby to tak samo przeniknęło wszystkie moje myśli, jak to, w co wierzył Lorenz? A może **taki** Lorenz, który by opowiadał to, co w tej chwili opowiada Andrzej, nie mógłby w ogóle istnieć? A może **taki** Lorenz nie potrafiłby wcale zawładnąć moim sercem i moimi myślami?"

Nie potrafiłby. Bentschem na pewno — nie. Tok wypadków w „Ocaleniu" dostatecznie jednoznacznie to udowadnia. Ale wartość książki na tym polega, że pokazuje ona nie tylko stopnie rozwoju Bentschów, lecz i ohydę upadku Andrzejów. Odsłania przyczyny tego upadku, jego powiązania i następstwa, ostrzega przed nimi naród niemiecki — i wskazuje mu drogi wiodące do o c a l e n i a.

Zofia Rzeplińska

JAN SKALSKI

NA WZNIESIONEJ FALI BUNTU...

Przodująca traktorzystka Magdalena Figur. (1950) Foto CAF

W dniu 23 kwietnia br. odbyło się w sali ZLP w Warszawie spotkanie uczestników strajków i buntów chłopskich z pisarzami.

Spotkanie było tym ciekawsze, że nie było to spotkanie z emerytami ruchu ludowego, z postaciami, które przeszły już do archiwum dziejów, że nie było to spotkanie z historią — lecz z współczesnością, która mówi o swych tradycjach i źródłach. Wszyscy ci chłopi pracują nadal społecznie i politycznie, są we władzach ZSL-u i PZPR-u i w Radach Narodowych. Jeden z nich ob. **Szymon Pietrzak** z Andrzejowa Juranowskiego pow. Sochaczew jest dziś przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej. Przemawiają jasno, prosto, rzeczowo, ze swadą starych majstrów-mówców, budząc zazdrość zebranych literatów, którzy jak wiadomo, darem wymowy nie grzeszą.

Spotkanie miało mieć charakter źródłowo-informacyjny, nie ograniczyło się jednak do suchego sprawozdania. Zbyt wbiły się w pamięć chłopów ówczesne wypadki, by mogli poprzestać na beznamiętnej relacji. Zbyt urosły od tamtego czasu ich doświadczenia życiowe, zbyt dużo nauczyła ich historia i pogłębiła się ich świadomość, by nie pokusili się także o **krytykę** tamtych wypadków, a w szczególności krytykę postawy i polityki ówczesnych władz stronnictwa. Perspektywa 20—15 lat, jakie upłynęły od tamtych wypadków zaostrzyła ich klasowe rysy, uwypukliła bohaterstwo i rewolucyjny poryw dołowych mas chłopskich z jednej strony, a z drugiej oportunizm i zdradę SL-owskich przywódców, reprezentujących kapitalistyczne interesy kułactwa. Co najważniejsze zaś, historia wydała już sąd o tych wydarzeniach. Wypadki historyczne pokazały naocznie, kto miał wtedy słuszność.

Bezpośrednie przyczyny buntów i zaburzeń były nieraz niewspółmiernie błahe do następstw, które za sobą pociągały. W Grodzisku pow. Łańcut taką przyczyną był np. fakt, że w dniu Bożego Ciała policja zakazała tradycyjnej strzelaniny z moździerzy (czerwiec 1933).

W gminie Jadów pow. Radzymin chodziło o tzw. rogatkowe, tj. opłatę pobieraną przy wjeździe do miasta od chłopów, która została podniesiona z 20 groszy na 50 groszy za furmankę jednokonną.

Nieraz przyczyną wybuchu był „zwykły" mandat policyjny czy czynność urzędnika skarbowego. Bunt rozpoczynał się od pobicia policjanta, od wypędzenia sekwestratora.

O czym to świadczy? Świadczy to o tym, jak wielkie było napięcie rewolucyjne, jak wielka była miara krzywd, jak bardzo na wyczerpaniu była cierpliwość chłopska, skoro najmniejsza przysłowiowa iskra mogła wywołać i wywoływała pożar.

Uczestnik ówczesnych walk chłopskich, Szymon Pietrzak z Andrzejowa Juranowskiego pow. Sochaczew opowiada o swoim aresztowaniu za udział w strajku. Na drugi dzień po strajku przyszło do niego 2 policjantów i pytają, dlaczego nie poszedł na targ.

— Nie miałem interesu — odpowiada.

— Znamy się na tym — mówią oni — wy się buntujecie.

— Ano — odparł Pietrzak — wiecie, że jak chłop nie ma wyjścia, to się buntuje.

Ówczesne kierownictwo Stronnictwa Ludowego nie mogło nie dostrzec tych rewolucyjnych nastrojów mas. Czy zdobyło się jednak na zdecydowane wystąpienie przeciw sanacji? Na rewolucyjne obalenie istniejącego ustroju wyzysku? Nie.

Nie leżało to zupełnie w jego planach. Kierownictwo SL bardziej nienawidziło i obawiało się rewolucji proletariackiej niż sanacyjnego faszyzmu.

Co więcej, w ówczesnej sytuacji wzrostu nastrojów rewolucyjnych wśród mas robotniczych i chłopskich, w obliczu rosnących wpływów KPP, system sanacyjny był władzom SL na rękę, jako tama przeciwko wezbranemu potokowi ludowemu, jako pięść wymierzona rewolucji, jako żandarm na straży kapitalistycznych porządków. System policyjnych pałek Berezy Kartuskiej, wozu i prezydenta — autarchy odpowiedzialnego „tylko przed Bogiem i historią" — dawał w ich pojęciu pewną gwarancję, że przebrnie się szczęśliwie przez wzniesioną falę rewolucyjną, przez siedem chudych lat kryzysu — i wyniesie stamtąd ocalony kapitalizm.

Nie mogły jednak centralne władze stronnictwa przejść do porządku dziennego nad żądaniami doprowadzonych do ostateczności chłopów, wymagających działania i obalenia znienawidzonego systemu ucisku.

Cóż więc czynią? Oto starają się wykorzystać sytuację do własnych rozgrywek politycznych z sanacją w ramach systemu kapitalistycznego, by na plecach mas dorwać się do współudziału w rządach.

W tym celu usiłują skanalizować nastroje rewolucyjne chłopstwa w pewnym określonym kierunku, wtłoczyć je w pewne określone ramy.

Celowi temu mają służyć strajki chłopskie pomyślane od góry jako próba postraszenia sanacji drogą legalnej demonstracji, które jednak na dole zostały wykonane jako czyn buntu, przybierający nieraz charakter zbrojnych i krwawych powstań.

Dzięki czemu się tak stało? Dzięki postawie mas, które nie tylko posiadały świadomość krzywdy, ale coraz częściej, dzięki ofiarnej pracy działaczy KPP, dzięki przykładowi i ideologicznej pomocy klasy robotniczej, zaczynały widzieć prawdziwego wroga, poznawać właściwą drogę i skuteczne środki prowadzące do wyzwolenia, zaczynały działać świadomie.

W opowiadaniach uczestników buntów i strajków chłopskich przewijają się stale nazwiska chłopów i robotników komunistów, nierozłącznie związanych z przebiegiem tych buntów i strajków. Dużo o nich mówił Szymon Pietrzak z Andrzejowa Juranowskiego, pow. Sochaczew.

Szczególnie ostro zarysowała się w jego opowiadaniu sylwetka robotnika Stanisława Pichuckiego, współorganizatora strajku w 1937 roku, który podjął ofiarną walkę z łamistrajkami i policją na drodze Kozłów—Sochaczew.

O wielkim poważaniu, jakim się cieszył u chłopów i wpływie na nich, świadczy fakt, że w czasie każdego większego zgromadzenia ludzi np. na jarmarkach chodziła za nim krok w krok policja i odganiała od niego ludzi, żeby nikt z nim nie rozmawiał. Tak się go obawiali. Stanisław Pichucki zginął podczas okupacji z ręki hitlerowców.

O ścisłym kontakcie i współpracy z robotnikami przy organizowaniu buntów i strajków mówią Jan Biesaga z Brudowa, gm. Morawica, pow. Kielce, Maria Detkowa z Czarnowa gm. Niewachlów, pow. Kielce, Aleksander Borchólski z Sulejowa, gm. Jadów, pow. Radzymin, który pracował przy kolportażu KPP-owskich ulotek — a na pierwszego maja o ile nie zdążył wyjechać z Sulejowa bywał zawsze aresztowany i trzymany prewencyjnie pod kluczem. Pietrzak Bolesław z Janówki, gm. Kobylin, pow. Grójec, który opowiada o wspólnej naradzie powiatowego aktywu SL w Grójcu z KPP-owcami w przededniu strajku 1937 r.

Pietrzak przytacza również jeden charakterystyczny dla ówczesnych stosunków fakt, demaskujący oportunistyczne stanowisko gór SL-owskich. Mała rewolucja jaką przygotowano w powiecie grójeckim wymagała przerwania komunikacji. W tym celu nawiązano współpracę z komunistami. Ludowcy mieli dostarczyć benzyny komunistom, którzy przyjęli na siebie zadanie spalenia drewnianych mostów. Na próżno jednak komuniści czekali na obiecaną benzynę. Ludowcy stchórzyli. Ulegając zakazom, naciskowi i propagandzie centralnych władz stronnictwa („Mosty są potrzebne, są naszym wspólnym dobrem, za nasze pieniądze zostały zbudowane, jak się spalą będziemy musieli znów na nie płacić") nie dostarczyli przyrzeczonej benzyny.

Nie wchodząc w rozważania czy w ówczesnej sytuacji spalenie mostów było posunięciem taktycznie pożądanym czy nie, samo porównanie zachowania komunistów i ludowców oraz argumentacja centralnych władz stronnictwa tłumaczy i streszcza nam doskonale ówczesne stosunki: lęk prawicowego SL-u przed każdym radykalniejszym wystąpieniem, tłumienie odruchów rewolucyjnych, bojaźń przed przekroczeniem platformy legalności.

Jeszcze wyraźniej te dwa nurty: ugodowy — gór stronnictwa i rewolucyjny — dołów wystąpiły podczas wypadków Nowosieleckich.

W 1932 miał miejsce wielki marsz chłopów na Przeworsk, pomyślany przez przywódców SL-u wyłącznie jako legalna manifestacja celem przedstawienia rządowi sanacyjnemu żądań (układanych z góry na wyrost — żeby w targu było z czego ustępować, a i tak dość umiarkowanych) — chłopi jednak myśleli co innego, — opowiada Kuźniar Michał ze wsi Siedlenka gm. Kańczuga, pow. Przeworsk. Uzbroili się. Najpóźniej została zawiadomiona wieś Łopuszna Wielka, ale za to wystąpiła najbardziej bojowo. Chłopi ponabijali tam kapsle od wozu na pałki i ruszyli wielką gromadą.

I oto na piątym kilometrze od Przeworska rozegrał się dramat. Ci rozentuzjazmowani, pełni zapału i żądzy walki chłopi spotkali bezładnie cofający się tłum. To wracały sąsiednie gromady, które wyszły wcześniej. Okazało się, że jest już po „rewolucji". Przywódcy SL-u kazali się rozejść. Dlaczego? Przecież miano iść na Przeworsk. Tak, ale naprzeciwko wyjechał pan starosta i komendant policji. Przywódcy odetchnęli z ulgą. Starosta wysłuchał uprzejmie ich żądań, był bardzo ugrzeczniony i wszystko obiecał, o co prosili, a przywódcom przecież o nic innego nie chodziło. Inna rzecz, że nawet tych żądań nie uwzględniono, a wracających chłopów napadło wezwane przez starostę wojsko.

Lecz panowie z władz SL-u nawet z takich lekcji nie wyciągnęli żadnej nauki. W 1936 r. powtórzyło się to samo, tylko w bardziej uroczystym nastroju. W pobliskich Nowosielcach obchodzono rocznicę odparcia najazdu tatarskiego przez legendarnego wójta z Nowosielec. Ponieważ chan tatarski, który wtedy poległ miał swój kopiec zwany Tatar a wójt nie, postanowiono i jemu usypać podobny.

Przy poświęceniu kopca miała się odbyć manifestacja, którą góry SL chciały wykorzystać jako atut w walce o miejsce w rządzie.

Na czele delegacji chcieli niektórzy postawić biskupa, żeby on wręczył memoriał, ale w końcu zgodzono się na górala Krzeptowskiego z Nowego Targu.

Memoriał skierowany był do Rydza Śmigłego. Naiwność i głupota? Nie, wyrachowana gra polityczna SL-owskiej góry. Nie wierzyła ona z góry w uwzględnienie memoriału, chodziło jej tylko o wytargowanie u sanacji ochłapu władzy, o zniesienie niektórych zbyt drastycznych form rządzenia, o złagodzenie terroru, chodziło o utworzenie śluz w zbyt szczelnej tamie faszystowskich rządów, przez które mógłby spłynąć niegroźnie strumień ludowego niezadowolenia i nienawiści.

Kiedy 200.000 chłopów manifestujących w Nowosielcach krzyczało: „precz z sanacją" władze SL-u wręczały memorandum właśnie tej sanacji.

Oszukane masy pałały żądzą walki, chłopi zaczynali już wtedy rozumieć — mówi Bolesław Pietrzak z Janówki, gm. Kobylin, pow. Grójec — że sanację można obalić tylko siłą.

Pod naciskiem mas ludowych, postanowiono powszechny strajk chłopski w sierpniu 1937 roku.

Wbrew intencjom władz SL przerodził się on w wielu miejscach w wystąpienia przeciwko sanacyjnej władzy.

Pod Przeworskiem na barykadach na drogach doszło do walk z policją. Uzbrojeni chłopi ruszyli na Przeworsk. — „Zapał był ogromny — opowiada Michał Kuźmiar z Siedleczki, gm. Kańczuga, pow. Przeworsk — chłopi wybrali nawet spośród siebie „sędziów i katów". Obiecywali, że będą sądzić i karać obszarników i sanacyjnych ciemiężycieli."

Te dwie postawy, dwa nurty w przebiegu strajków przejawiają się wówczas wszędzie. Tu jest klucz do zrozumienia ówczesnych wypadków i ich historycznej oceny. — Tu ma swe miejsce ich tragizm.

W roku bieżącym przypadają rocznice największych wzniesień rewolucyjnej fali na wsi w okresie międzywojennym. W maju i czerwcu obchodzimy 20-lecie wypadków 1932 r. a w sierpniu 15-lecie wielkiego strajku 1937 r.

Wspomnienia uczestników buntów i strajków chłopskich wzbudziły zrozumiałe zainteresowanie wśród pisarzy. Należy zatem oczekiwać, że pojawienie się dzieł literackich ukazujących tę wielką kartę rewolucyjnych tradycji chłopskich jest już tylko kwestią czasu.

Jan Skalski

Chłopskie strajki (1932 r.)

Foto-CAF

ZDZISŁAW KUBALSKI

POŻAR

Jak krwawy łańcuch wiążą chłopi historię...
Sanna i Jadów... Lubla i Łapanów.
W ogniwa rosną dnie burzliwej pory.
I groby rosną pomordowanych.

W imieniu prawa uśmiechnięty pałkarz
broń repetuje w Grodzisku, Kozodrzy...
W imieniu prawa zamknął usta salwą.
Usta — krzyczące głodem.

Leskiem się chłopom pokazał słońca skrawek,
zagrał na kosach — i szklistych źrenicach...
Siedmiu — w Muninie koło Jarosławia,
a jedenastu padło w Krzeszowicach!

Jak chmura wpadli w błysk kos granatowi
plony strajkowe roznosić — salwami.
Padło zabitych siedemnastu chłopów
w cichym Sieniawskim Majdanie...

Jarosław, Przeworsk, Radzymin, Lesko, Łańcut...
Nie zliczysz ogniw okrwawionej pory!
Idą z pomocą towarzysze z miasta!
Wieś polska płonie!

Zdzisław Kubalski

BOGUSŁAW KOGUT

NA WYGONIE

(Fragment powieści)

Z obskubanej, pokracznej chałupy wyszła Rydzkowa i szła prosto ku chłopcom, podtrzymując jedną ręką fartuch, jakby w podołku coś niosła. Widocznie skończyła ranny oprzęt, z krową wyprawiła Marynę, a że nie miała małego dziecka — nie miała w chałupie co robić. W polu też nie było roboty, bo ziemniaki były już dawno obrobione — a ta odrobina żyta na trzecim stajaniu za gościńcem — już związana i ustawiona w mendle. Rydzkowa była plotkarką, znaną w całej wsi. Wiedziała zawsze wszystko, co było i czego nie było, chodziła, słuchała, komentowała. A że od paru tygodni żarła się z Irzechową o jakieś utopione w gnojówce kurczę — nie miała co ze sobą zrobić, wybrała się więc na pogawędkę do Boguszowych chłopaków na łąkę.

Chłopcy nie bardzo byli radzi tym odwiedzinom, gdyż nie lubili Rydzkowej.

— No i jak się wam pali? — przywitała ich Rydzkowa swoim szerokim, nieforemnym uśmiechem. — Przyniosłam wam 8 ziemniaków, to se upieczcie.

Nie schylając się wysypała ziemniaki z podołka Józek w mig zagrzebał je w ogień, dokładając na wierzch suchego nawozu.

— I co chłopaki, tata w doma? — spytała niby od niechcenia, sadowiąc się wygodnie na trawie.

Chłopcy spojrzeli po sobie.

— Nie — odparł Józek — gdzieś poszedł od rana, my jeszcze spali.

— A mama czemu zyta nie wiąże? — pytała dalej baba.

— Mama? Przecie jeszcze słaba.

— Słaba? A czemuż to?

Chłopcy spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

— Nie udawajcie, kiej dobrze wiecie — sarknął Kostek.

— Nie, nie wiem — uśmiechała się chytrze.

— No, przecie po dziecku — rzekł Józek takim tonem jakby już przynajmniej sam był ojcem. — Wszystko zawdy wiecie, a tego to nie? Wyście łońskiego roku dwa tygodnie po dziecku leżeli i jeszcze wam umarło, a chcielibyście żeby mama już robiła?

— Nie wiecie to, gdzie tata poszedł? — zawróciła znów Rydzkowa.

— Nie, ale pewnie i wasi gdzieś pośli, bom ich od rana nie widział — zauważył Kostek.

— Poszedł. Juści poszedł — mamrotała baba.

— Ale dzisiaj pusto na polach — ciągnął dyplomatycznie Kostek. — Gdzieniegdzie ino w ążą i to same baby.

— Pewnie że baby same — rzekła gniewnie Rydzkowa — kiej te głupie chłopy tę **Kozodrzę** poszli.

— Na Kozodrzę mówicie? To oni na Kozodrzę szli? A po co?

— Ech, co tam, i tak nic z tego nie rozumiesz.

— Nie bójcie się, nie takim głupi jak myślicie — obraził się Kostek — Widziałem jak chłopy szli i jak u Mikulskiego tłukli szyby. Ino nie wiem pō co na Kozodrzę szli.

— Widziałeś? To co cyganisz jucho jedna, żeś spał? A nie wiesz po co szli — to ci powiem, ino Józek przyjdzie, bo by nie słyszał.

Józek zawrócił Łysą od Błażukowego koniczu a przybiegłszy poprawił kijem ziemniaki w ognisku, usiadł.

— No gadajcie — nalegał Kostek.

Baba bąkała z początku trzy po trzy potem rozgadała się na dobre i zaczęła opowiadać chłopakom usłyszane i upstrzone plotkarską fantazją wieści o Kozodrzy. Chłopcy słuchali pilnie jak kazania. Oczywiście, wszystko brali za dobrą monetę, bowiem nie stać ich było na odróżnienie prawdopodobieństwa od fantazji plotkarki. Dowiedzieli się więc, że na Kozodrzy policja pobiła wielu i uwięziła kilku chłopów za **jakieś strajki i wiece**, że na areszt rzuciły się baby z całej wsi aby chłopów odbić — ale „siandary" rozpędzili je. No i że z tego będzie **rebelia**, bo wszyscy chłopy z całych okolic szli na pomoc kozodrzanom.

— A wy się nie martwicie? — spytał Kostek, kiedy zmęczona gadaniem baba umilkła, by odsapnąć.

— Co się mam martwić — sapnęła baba. — A bo to mój Wojtek głupi, żeby palec w ogień pchał? Nie bójcie się, łba on nie nadstawi.

Kostek przypomniał sobie słowa ojca, który mówił że się z pałkami nie porwą na karabiny. „Pewnie że się nie porwą" — myślał. „I przyjdą z niczym Rewolucji nie będzie".

Tymczasem Rydzkowa wygrzebała z popiołu ziemniaka, przebiwszy go nożem, który nie wiadomo skąd wyciągnęła.

— Dobrze się upiekł — stwierdziła.

Oskrobała ziemniak nożem i oglądając go wkoło, rzekła:

— Trza spróbować.

Skosztowała raz i drugi. Ziemniak znikł. Wtedy chłopcy jednocześnie sięgnęli po pozostałe ziemniaki.

— Nie ruszł — wrzasnęła nagle Rydzkowa. — Przednówcoki jedne! Dla was żem ziemniaki przynosiła, hę?

Chłopcy odskoczyli na bok. Rydzkowa wzięła ziemniaki do podołka i zabierała się do odejścia.

— Kmiece syny psiamać, dziadowskie ziemniaki by jedli — burzyła się.

— Zatkajcie se gębę tymi ziemniakami i idźcie skądeście przyszli! — wrzasnął Kostek i na wszelki wypadek cofnął się parę kroków.

Ale baba nie myślała go bić. Wsadziła ziemniaka w gębę i ruszyła ku przekopie.

— Tacyście głodni, to macie jeszcze kawał chleba — krzyknął Kostek i cisnął w odchodzącą niedojedzonym kawałkiem chleba od śniadania, który miał w kieszeni.

— Gówniarzu grzeszny jeden, będziesz boski dar poniewierał? — zawołała baba, poczem schyliwszy się ucałowała porzucony chleb i schowała go do zanadrza.

Bogusław Kogut

STANISŁAW SKONECZNY

DO WIĘZIENIA

Fragment gawędy wierszem pt. „TAJEMNICA PAŁYSA"

Zawiadomiłem z naszego koła
wszystkich. W niedzielę rano wesoła
gromadka nas szła do Ostałówka.
Gdyśmy do szosy doszli, z Janówka
kilku się chłopów z nami złączyło.
Słońce już dosyć wysoko było,
kiedy zmęczeni do pierwszych chałup
doszliśmy. Ludzi, mimo upału,
było nad tysiąc. Koło kościoła,
Adamek Ambroż na mnie zawołał.
A kiedym podszedł do niego — gada,
że może wypaść tutaj wnet zwada,
bo poseł Gawron, stronnictwo zdradził
i od miesiąca właśnie prowadzi
swą rozbijacką robotę wszędzie,
myśląc, że ludzi sobie zdobędzie.
„Chodźmy — powiada — razem, zbierzemy
lepszych wiciowców i stać będziemy
na pogotowiu".
Ambroż się między tłumem uwijać
zaczął wnet zebrał ludzi około
czterdziestu, prawiąc do nich wesoło:
„Gdyby się Gawron rwał do mównicy,
to mu wlejemy, niech drań nie krzyczy".
Zaledwie skończył, gdy ktoś jak poseł,
zaczął przemawiać tubalnym głosem.
Jeszczem nie zdążył pochwycić zdania,
a już się Gawron z boku wyłania
i woła. „Ludzie! Obywatele!
Koledzy! Wy tu jego niewiele
Słuchajcie" — a ten co mówił z ławy
zepchnął Gawrona i dalej prawi.
Tymczasem Gawron, krzyknął na swoich
ludzi i tłum się zaczyna roić.
Krzyki i gwizdy powietrzem płyną,
Ambroż, stojący przy mnie ze trzciną
w garści, zawołał: „Chłopcy do płotu!"
Łamiemy parkan, nie czując potu
i ile w nogach sił gnamy aby
zmacać żerdziami Gawrona schaby.
Ale tu naraz jego kompanów
ze stu wypada spoza parkanów
i tylko trzeszczą żerdzie na głowach.
Nie wiem kiedy się skończyła mowa,
zaraz, czy później, ponieważ strzały
jak wróbli z łajna nas rozegnały.
Sapiąc, przypadłem pod mur kościelny
patrzę, od młyna policji pełny
samochód jedzie a drugi z szosy
zjeżdża; bagnety błyszczą jak kosy.
Mostem policja ludzi puszczała
jednych, a drugich zatrzymywała,
Gdy ja nadszedłem, ze złością w oku
komisarz kazał mi stanąć z boku.
Był tam już Ambroż i kilku innych
z bitki, lecz reszta stała niewinnych.
Gdy przepuścili wszystkich, komisarz,
stojących z boku kazał zapisać
wnet i władować do samochodu.
Wieczór nadchodził w miasto wśród chłodu,
gdy nas wtaszczyli do małej sali,
mówiąc: „No teraz będą śpiewali".
Zwrócił się do mnie szeptem z Janówki
Stanik Jan, ten co robi dachówki
i mówi: „Co to śpiewać nas uczyć
będą „Brygadę"? Ja tylko mruczyć
umiem, bo głosu to nijakiego
nie mam, najlepiej wiesz". Ja do niego
szepczę: „Mnie pytać się o to przecie
nie będą, zresztą sami się dowiecie,
czy wam nakażą śpiewać „Brygadę".
Może by Stanik dalej naradę
ze mną prowadził, ale drzwi z trzaskiem
rozwarły się, ktoś nazwisko z wrzaskiem
moje wywołał. Wchodzę. W pokoju
jacyś cywilni za stołem stoją.
Huczy mi we łbie jakbym na wieży
kościelnej siedział i mi się wierzyć
nie chce. Sen to jest — myślę — czy jawa.
Ale ten grubszy znów krzyczy: „Stawaj,
tutaj przy stole" — i mi przystawił
kij gruby do nosa i tak prawił,
patrząc się na mnie z nadętą miną:
„Wąchaj czym pachnie". Mówię: „Dębiną".
Nim się spopadłem, przez łeb mnie zdzielił.
Cały świat w oczach mi się zabielił.
Co się zrobiło ze mną to nie wiem.
Macam się, mokry jak po ulewie
jestem i leżę na ziemi. Dranie
lali mnie wodą, widzę po dzbanie,
który ten drugi trzyma nade mną.
W głowie mi huczy i pokój ze mną
kręci się cały. „Wstań!" — grubszy wrzeszczy.
Wstaję okrakiem, podłoga trzeszczy,
a on mnie sadza znowu przy stole
i mówi: „Powiedz prawdę matole.
Do komunistów dawno należysz?"

Stanisław Skoneczny

LUDWIK MAJ

Co znaczy dla nas prasa i książka

U NAS na Podhalu chłopi bałamuceni przed wojną i oszukiwani przez przywódców „ludowych" z jednej strony, a z drugiej zatruwani jadem nienawiści do wszystkiego co postępowe — co oparte o naukę — przez klerykalne „Małe dzienniki" i „Rycerze Niepokalanej" tracili wiarę w słowo drukowane.

Na terenie gminy Bystra na przeszło 2.000 rodzin przed 1939 r. prenumerowano 16 dzienników, ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY — MAŁY DZIENNNIK — coś około 100 RYCERZY NIEPOKALANEJ (które kręcącym się koło kościoła wtykano bezpłatnie) 16 PRZEWODNIKÓW KATOLICKICH — 36 PIASTÓW. Oczywiście, dzienniki prenumerowali urzędnicy i księża — PIAST i PRZEWODNIKA — bogatsi chłopi RYCERZ wsiąkał w „pobożnych".

Bibliotek publicznych nie było żadnych.

Co wieś czytała? Kupowane na odpustach senniki egipskie, w których szukano nadziei lepszej doli, kalendarze uniwersalne, które udzielały „porad" rolniczych w postaci przepowiedni pogody i „dni dobrych spod znaku ryby czy raka", ponadto rozmaitej treści „naukowej" książki, opisujące męki piekielne z kotłami i ogniem siarkowym.

Taką literaturą karmiona była nasza wieś. Dzisiaj na teren gminy Bystra przychodzi w prenumeracie przeszło 1.000 egzemplarzy „Gromady", „Rolnika Polskiego", „Zielonego Sztandaru" i wiele innych o treści politycznej, literackiej, rolniczej, młodzieżowej.

Ba, dzieci z oszczędzanych groszy z dumą prenumerują setki Świerszczyków — Płomyków — kupują książeczki — zakładają własne biblioteczki. Listonosze uginają się pod ciężarem drukowanego słowa, które dociera do domów, by do reszty zniszczyć wiekowe pęta zacofania.

I tu dochodzę do sedna sprawy. Czynnikiem bardzo ważnym, który pomógł przywrócić pracującemu chłopu wiarę we władzę (bo to władza robotniczo - chłopska) i który powiązał bezpartyjne chłopstwo z partią i rządem — była prasa.

Chłopi dzisiaj innymi oczyma patrzą na zjawiska międzynarodowe czy wewnętrzne, rozumieją już dzisiaj, że władza — to oni, że kowalami szczęśliwej wsi są robotnicy i chłopi.

Dzisiaj już pracującego chłopa nikt nie złowi na jedwabne słówka tu i ówdzie szepczących „opiekunów", a pozbawionych wpływu na „uszczęśliwianie wsi".

Nieraz się zastanawiałem, co więcej wpłynęło na powiązanie się pracujących chłopów z klasą przodującą — czy podniesiona stopa życiowa czy wiedza. Ja osobiście twierdziłbym, że to drugie trzeba już bardzo doceniać — skoro i taki chłop, który jeszcze bywa w ciężkich warunkach życiowych z powodu warunków rodzinnych — gdy „opiekun" zacznie mu szeptać o trudnościach przejściowych, a których nikt nie kryje, to taką da mu ten chłop naukę, że więcej nie ma ochoty podjudzać.

Czy widzieliście kiedy przed 1945 rokiem chłopa, który by podatki i inne świadczenia płacił z ochotą? Nie. Dzisiejszy chłop płaci podatki przed terminem, bo wie, że ma z czego płacić i wie, że płaci sobie i swojej ojczyźnie, na jej i swój rozwój. A kiedy ktoś na wsi próbuje wymigać się od spełnienia obowiązków, nie sekwestrator „poucza" go o obowiązku (jak przed 1939 r. pouczał biednych chłopów) ale sami chłopi dopilnują takiego „sąsiada", by spełnił swoją powinność.

Co zmieniło pracującą wieś?

Słuszna polityka partii i prasa, której chłop stał się wdzięcznym czytelnikiem. Czyta ją z ciekawością wierzy jej, gdyż notuje ona to, co sam ogląda — pomaga usuwać trudności i niedociągnięcia. Wraz z czytelnikami prasa żyje zagadnieniami walczącej wsi, uczy i usprawnia pracę.

Nabrał chłop nasz śmiałości i szerszego „rozumu". I w nowy sposób staje przed tu i ówdzie „panującym" jeszcze urzędasem, oderwanym od życia dzisiejszej wsi i szacującym pracującego chłopa kategoriami sprzed 1939 r. Taki „biurkowiec" oburza się na prostego chłopa za to, że mu zwraca uwagę na opieszałość i mechaniczność urzędowania, za to, że podaje mu konkretne propozycje, w jaki sposób bieżąca sprawa najkrótszą drogą może być załatwiona. Taki urzędas mówi po cichu — co za czasy! Mnie, com zęby zjadł na urzędowaniu będzie taki owaki uwagi i nauki dawał? Ale wówczas musi „rodowe biurko" opuścić, jak opuścił je Józef Buda w Sidzinie, wójt od 1936 do 1945 r. pod naciskiem pracującego chłopstwa. „Niezastąpiony" urzędas zastąpiony został przez prostych chłopów, którzy przyszli wprost od produkcji.

Dziwią się przedwojenni spekulanci i sklepikarze z Bystrej i z Sidziny, Taifer, Kulka Jan i inni (którzy z powodu braku dostatecznej czujności klasowej pracującego chłopstwa, potrafili swoje prywatne sklepy zamienić na filie GS i we własnych domach już jako „spółdzielcy" w dalszym ciągu „uszczęśliwiać" wieś), że chłopi od wielu lat „obsługiwani" przez nich i ich „fachowe zdolności" — dzisiaj żądają usunięcia ich z aparatu gminnych spółdzielni — a na ich miejsce zatrudnienia dziewczyn, które im dotąd usługiwały.

Na pewno, pod naporem uświadomionej wsi gminna spółdzielnia w Bystrej pozbędzie się tego „fachowego" elementu, co przyczyni się do lepszej pracy GS ku zadowoleniu chłopstwa pracującego.

Skąd ta śmiałość u chłopów? Płynie ona z prasy, bo ona podniosła ich do świadomości gospodarzy kraju. Zagadnienie planowania gospodarczego w naszym ustroju nie odbywa się poza i bez udziału chłopów. O planach kontraktacji czy innych chłopi mówią — NASZ PLAN NA GMINĘ BYSTRA, NASZ PLAN NA GROMADĘ OSIELEC ITP.

Jak się to stało, by chłop „zasiedziały na swoim podwórku" tak szeroko spoglądał? Mnie niepotrzebne były dociekania, dlaczego tacy bezpartyjni średniacy, jak Chowaniak Wincenty z gromady Kojszówka właściciel 6 ha, dostarczył w 1951 r. 6 sztuk kontraktowanych tuczników a w 1952 zakontraktował 7 sztuk, jak również 30 arów lnu. Gazeta „Gromada" leży u niego na stale.

Inni z tej samej gromady, Jaromin Franciszek, samorzutnie wezwał Chowańca do współzawodnictwa w kontraktacji tuczników — Migas Stanisław zakontraktował 1 ha lnu, Kardaś Władysław — 1 ha lnu, Syr Julian — 1 ha lnu i wielu innych bezpartyjnych średniaków. Sami mówili, że przy pomocy prasy potrafili zrozumieć sens słusznej polityki partii. Małorolny chłop (2 ha) Latawiec Piotr z Bystrej, Bachul Aniela z Osielca i setki innych Banasików, Zająców, Majów, Rysiów, Miśkowców — a wszyscy pilni czytelnicy prasy — kształtują nową wieś i nic ich już nie oderwie od uczestnictwa w w budownictwie socjalizmu na wsi.

Wśród inteligentów niektórych z klasy mieszczańskiej pokutuje jeszcze mniemanie, że chłopi nie dorośli do czytania pism literackich. Że „Wieś" i „Nowa Kultura" są dla chłopów niezrozumiałe?!

Taką rozmowę podsłuchałem w przedziale kolejowym pociągu Kraków — Zakopane, którą prowadziło trzech panów, a jeden znajomy Antoniego Gołubiewa, autora „Chrobrego". Siedziałem w tym samym przedziale z kolegą, tak samo prostem chłopem jak i ja. Uśmiechaliśmy się na różne „arcy mądre" wywody naszych towarzyszy podróży

A kiedy włączyliśmy się do tak interesującej dysputy — na temat walorów artystycznych książki Gołubiewa „Chrobry" i arcyrozwiązłej książki arcykatolickiego pisarza Kisielewskiego („Sprzysiężenie") oraz na temat naszej literatury i radzieckiej — to w ogniu naszych argumentów jedno co najmniej zrozumieli, że naród na wsi za głupi i naiwny brać dłużej nie mogą, że wszelkiego rodzaju mitami dziś sami tylko mogą się karmić.

Jak na początku tego listu stwierdziłem — do 1945 r. w naszej gminie nie było żadnej biblioteki — obecnie posiadamy bibliotekę, złożoną z paru tysięcy tomów — z punktami usługowymi na gromadach.

Setki książek co tydzień wędrują pod strzechy. I nie w jednym domu toczą się dyskusje o przeczytanych książkach, o autorach. Niejednemu naszemu pisarzowi proste chłopy mają wiele do zarzucenia.

Wielu naszych pisarzy nie zdjęło z siebie jeszcze całkiem inteligenckomieszczańskiej skóry. I dlatego nie zawsze umieją dojrzeć prawdziwą wieś dzisiejszą, która daje pełne garście tematów niezmyślonych, a żywych. Nie mówię już (jak to jest u Gołubiewa) o wstecznych mitach fantastycznych — ale, co znaczy to ciągłe i uporczywe grzebanie w przeszłości? Teraźniejszość i przyszłość — to trzeba pojąć i zobaczyć, wtedy i historia lepiej wyjdzie pisarzom! A czytelnik na wsi czeka na literaturę współczesną, ale taką, która by mu zabiła klina. Żeby się z nią musiał mocować i dyskutować swoim własnym życiem. Żeby czuł, jak pisarz stawia mu pytanie: KTO KOGO?

Taki NEDZA-KUBIENIEC autor poematu „Janosik", który tak pięknie opisuje bunty góralskie w przeszłości, czy nie ma w pobliskich wioskach dziesiątków już nie „Janosików", ale tych, co zwyciężyli i tworzą to życie, o jakie niejasno walczył legendarny Janosik?

Dlatego to w tygodniu „Oświaty, Książki i Prasy" wołamy do pisarzy i literatów — twórzcie nowe dzieła, pomagajcie nam w marszu do socjalizmu.

Maj Ludwik

TADEUSZ SZEWERA

Biblioteka w rodzinnym miasteczku Lucjana Rudnickiego

SZPERAJĄC wśród archiwalnych papierów oraz akt, dotyczących przeszłości rodzinnego miasteczka Lucjana Rudnickiego, znalazłem strzępy notatek pozostałych jako — pewnego rodzaju osobliwość — po jednej z narad ciała prezydialnego Magistratu Miasta **Sulejowa.**

Działo się to kilkanaście dobrych lat temu, kiedy jeszcze wapienniki i sklepy stanowiły nieograniczone źródło dochodów kilkudziesięciu „przezacnych" mieszczan i, kiedy to pan Skoczek — niepodzielny właściciel tartaku — obnosił się ze swą figurą po wszystkich zabawach, czyli imprezach natury społecznej, jako że był jednym z ich organizatorów.

Rada Magistratu miasta Sulejowa rozstrząsała wtedy trzy sprawy. Pierwsza... wypłynęła od ogółu mieszkańców, chociaż prezydium Magistratu utrzymywało, że wniosek o wybudowanie łaźni miejskiej pochodzić może jedynie od mniejszości sulejowskiej, to jest: od robotników zatrudnionych w wapiennikach. Druga sprawa... przekazana została na Radę od bliżej nieznanych projektantów budowy fabryki sztucznego jedwabiu na terenie Sulejowa, co miało rzekomo przyczynić się do ożywienia i rozwoju miasteczka. Trzecia zaś sprawa pochodziła od prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej spod znaku świętego Floriana i dotyczyła... upowszechnienia kultury.

Z pierwszą petycją rozprawiono się nadzwyczaj szybko. Ojcowie miasta byli bowiem zgodni w opinii, że wszelkiego rodzaju łaźnie są wymysłem i zbytkiem. Tym samym, projekt „mniejszości" sulejowskiej — robotników z wapienników — nadawał się li tylko do odrzucenia. Aby jednak nie ściągnąć na swe szanowne głowy klątw i, aby decyzja miała charakter iście urzędowy, ojcowie umotywowali ją w sposób następujący:

— Łaźnia jest niepotrzebna, albowiem pod nosem przepływa rzeka Pilica. Bez względu na porę roku mogą się w niej przecież kąpać wszyscy mieszkańcy.

Po tym, istotnie salomonowym wyroku, rozprawiono się nie mniej sprawnie i z godnością jaką winni reprezentować radni miasta, z drugim wnioskiem, dotyczącym wybudowania na terenie Sulejowa fabryki sztucznego jedwabiu. Projekt odrzucono, bowiem czynniki były „bliżej nieznane" a przez budowę fabryki miasteczko straciłoby swój charakter, wygląd i.... rodzimy folklor — jak się wyraził jeden z członków ciała magistrackiego nie życząc sobie ożenku przemysłu z handelkiem. Do tego, taka fabryka przerobi biednych chłopów, licznie zamieszkujących miasteczko, na robotników. Nie panowie, socjalizmu nam nie trzeba...

Po tych dwóch sprawach, które nie zabrały więcej, jak godzinę czasu, zatrzymano się nad trzecim wnioskiem wniesionym przez dzielnych strażaków. Wniosek dotyczył sulejowskiej biblioteki, czyli „ogniska kultury". Tej sprawie ojcowie miasta poświęcili pozostałe trzy godziny. Bowiem... około pięćset książek ułożonych na półkach jednej szafy, w remizie strażackiej, stanowiło dorobek kulturalny miasta, włożony przez prezesów straży pożarnej, burmistrzów oraz pozostałych ojców Sulejowa.

Podstawą do debaty nad tym trzecim punktem stanowił raport, takiej mniej więcej treści:

— Na przeszło cztery tysiące mieszkańców, stałych czytelników jest czterdzieści osób, na czele z panią burmistrzową i jej córeczką. Te czterdzieści osób nie bierze żadnej spośród 497 książek, leżących na półkach w szafie, natomiast wyrywa sobie dosłownie trzy książki. A to: „Ordynata Michorowskiego", „Trędowatą" i „Profesora Wilczura". Pożyczający zwracają je w stanie budzącym coraz bardziej poważne zastrzeżenia, tylko tytułowa karta jeszcze wskazuje, gdzie jest początek, a gdzie koniec książki. Niedługo zostaną strzępy z tych egzemplarzy, a upowszechnienie kultury trzeba nadal robić, bo tego domaga się pan starosta. Tym bardziej, że robotnicy z wapienników chcą nie tylko łaźni, ale i książki.

Wnieśli oni do Zarządu Biblioteki pismo zbiorowe, w którym wysuwają cztery żądania. 1) Aby obniżyć kaucję i miesięczną opłatę. 2) Aby wypożyczania odbywały się stale i regularnie a nie na pół - prywatnie. Z czego wynika, że pani burmistrzowej bibliotekarka sama przynosi książki, a kto przyjdzie z przedmieścia Sulejowa, zastaje zawsze bibliotekę nieczynną. 3) Aby księgozbiór był kompletowany według życzeń czytelników (to znaczy tych, co chcą łaźni!) 4) Aby zorganizowany został kurs dla analfabetów przy bibliotece, wówczas czytelników będzie co najmniej 2 tysiące.

Jak widzicie, sprawy były nie byle jakie, lecz ojcowie miasta poradzili sobie z nimi doskonale i po trzech godzinach wydali wyrok godnie wyrażający interesy właścicieli tartaku, wapiennika, restauracji, drogerii i innych sklepików.

Polecili, celem „upowszechnienia" czytelnictwa, zakupić kilkanaście nowych egzemplarzy... „Ordynata Michorowskiego" oraz „Trędowatej", co przyciągnie „inteligencję" miasta do „ogniska kultury", t.zn. sulejowskiej biblioteki. Z zakupem nowych egzemplarzy „Wilczura" chwilowo się wstrzymano, bo z profesorami, nigdy nie wiadomo, co im do głowy przyjdzie... Zaś specjalnym ogłoszeniem, postanowiono podać do wiadomości analfabetów, że za karę, iż dotychczas nie nauczyli się czytać, wstęp do biblioteki jest im w ogóle wzbroniony. Inne w tej materii żądania również napiętnowano oskarżeniem o wywrotowe tendencje.

Od tego też czasu do 1939 roku sulejowska biblioteka nie powiększyła się ani o jeden tom. W tym też okresie upowszechniła się taka piosenka.

W mieście Sulejowie, mości panowie,
Mamy „ognisko"... pięćset ksiąg blisko,
Lecz czytelnictwo jest tak duże,
Że prawie wszystkie... porosły kurzem.

*

A dzisiaj. Nie jedna, a pięć dużych szaf stoi wzdłuż białych ścian dużej sali bibliotecznej. Nie pięćset miernej wartości książek, a ponad dwa tysiące tomów zalega półki. Nie czterdziestu bibliotecznych „bywalców i bywalczyń" wywodzących się spośród śmietanki kupiecko-fabrykanckiej, a dwa tysiące pięciuset czytelników — przedstawicieli młodzieży, robotników, chłopów mieszkających w Sulejowie.

Wprost nie do wiary, by w ciągu jednego roku odwiedziło bibliotekę w małej mieścinie dziewięć tysięcy trzysta osób, które przeczytały 11 tysięcy książek. To się nazywa funkcja społeczna biblioteki!

Przez trzy duże okna wlewają się potoki słońca. W sali jest jasno, przytulnie. Opodal pięciu szaf pełnych książek, stoją stoliki.

W pobliżu wisi na ścianie wielka tablica. Stoją przed nią dwaj chłopcy. Mają na sobie drelichowe kombinezony uwalane wapnem. Odczytują z tablicy nazwiska — Okońska Magda, Romanowska Helena, Podlewski Józio, Kantor, Marchwiński, Lubczyk, Różycka, Sarlej Edmund.

Przechodzą teraz do stolika przy którym siedzi młody człowiek. Ma na sobie taki sam, jak i oni, kombinezon, uwalany wapnem. Rękami podparł głowę i zagłębił się w lekturze. Czytał **„Stare i nowe" — Rudnickiego.**

— Sarlej — szepnęli młodzi chłopcy — widziałeś siebie na tablicy? Ty chyba po dwie książki czytasz dziennie? Co?....

Sarlej przerwał czytanie, koledzy usiedli przy stoliku. Potoczyła się przyciszona rozmowa. Dowiedzialem się, że wszyscy trzej pracują w wapiennikach, jako robotnicy i biorą udział w podwójnym współzawodnictwie: w zakładzie pracy i bibliotece. Edmund Sarlej jest już podwójnym przodownikiem — w wapienniku i w bibliotece. I tam i tu uzyskał zaszczytny tytuł. A do niedawna jeszcze Sarlej był jak ślepiec, figurował na liście analfabetów.

Kiedy więc dowiedział się, że kierownictwo biblioteki organizuje kurs dla analfabetów przyszedł wraz z dwoma kolegami z wapienników: Leszczyńskim i Pietrasem. Namówił również swego brata — Józka. Dzisiaj czyta. To mało — powiedzieć — czyta. Sarlej pochłania wprost książki. Jak powiada, są one jego jedyną szkołą. Do prawdziwej szkoły Sarlej nigdy nie chodził. Na książkach uczy się świadomości politycznej, walki o wzmożenie produkcji, oceniania naszych ludowych zdobyczy.

Sarlej spogląda na zegarek. Zawija w gazetę książkę, czas już na zmianę do wapienników Jutro zastaniemy go znowu w bibliotece o tej samej godzinie.

W drzwiach staje niemłoda już kobieta. Jest nieśmiała. Przyszła po raz pierwszy do biblioteki. Pracuje w wapiennikach jako robotnica od niedawna. Dotychczas chodziła po służbach u bogaczy.

— Chciałam pożyczyć książkę, w fabryce mówili, że tu można.

Bibliotekarka przytakuje i podaje kobiecie katalog. — Proszę, niech pani sobie wybierze. — Kobieta przez chwilę stoi niezdecydowana. — Ja chciałabym ładną książkę. Żona gospodarza, u którego służyłam, czytała taką jedną, ponoć piękna. „Trędowata" czy jak tam się nazywa.

Bibliotekarka orientuje się szybko w sytuacji. — Dam pani jeszcze piękniejszą książkę. — Tytuł — „Szalona". Autorem jest Kraszewski.

Robotnica odwraca barwną okładkę książki. Wolno, wodząc palcem, odczytuje naklejoną na pierwszej stronie kartę: — **„Bibliotece mojego rodzinnego miasta, która krzewi oświatę wśród mas pracujących, książkę tę ofiarował pisarz, Lucjan Rudnicki"**

Tadeusz Szewera

WITOLD WIRPSZA

DROGI DO KULTURY

W sześćdziesięciolecie urodzin Prezydenta Bieruta, dnia 18 kwietniu 1952 roku otwarto świetlicę wzorcową w gromadzie Jasienica powiatu szczecińskiego.

Jasienica jest dużą wsią, rozbudowaną, o kilku ulicach, przy których nierzadko stoją piętrowe kamieniczki. Zewnętrznie robi wrażenie małego miasteczka. Z układu tej wsi widać, że ongiś — przyczym tutaj „ongiś" znaczy niespełna dziesięć lat — centrum stanowił niewielki, średniowieczny (prawdziwy gotyk, no i cegła stara) kościółek i rozsiadły tuż obok, dwuskrzydłowy pałacyk magnacki o wszelkich cechach fryderycjańskiego, bardzo sprowincjonalizowanego rococo z fragmentami gotyckimi w części budowli. Przypuszczam, że te, pamiętające odległe wieki, feudalne mury żyły jeszcze w roku 1944. Dzisiaj są martwe całkowicie. Centrum przeniosło się gdzie indziej.

Będzie więc nim zarząd powstałej spółdzielni produkcyjnej imienia Wilhelma Piecka. Spółdzielnia ta, mimo że istnieje zaledwie od 8 marca, wykonała w terminie Siew Wysokich Plonów. Będzie więc nim nowootwarta świetlica wzorcowa, o której powstaniu mam właśnie zamiar opowiedzieć. Dzieje tej świetlicy, mimo że istnieje dni zaledwie kilkanaście, sięgają czasów dawniejszych, zapał zaś, z jakim młodzież Jasienicy wzięła się do pracy ,jest bezpośrednim wynikiem doli, niedoli i walki polskiego ludu pracującego na przestrzeni dwóch co najmniej pokoleń.

Zacznijmy jednak od rzeczy bliższych, od historii ostatnich czterech miesięcy.

Otóż do stycznia tego roku istniały w Jasienicy dwie świetlice młodzieżowe. Gospodarzami jednej byli zetempowcy, drugiej — junacy z S. P. Obie świetlice były słabo wykorzystywane, nikt się nimi z zewnątrz nie zainteresował. Taki stan rzeczy trwał aż do konferencji gminnej ZMP, która odbyła się dnia 16 stycznia. Wybrano nowy zarząd — i zarząd zaatakował świetlicę. Robota ruszyła. Zaczęło się od Polewoja „Opowieści o prawdziwym człowieku". Obejrzano film, przeczytano książkę, poczym toczyła się zażarta dyskusja przez 9 kolejnych wieczorów. Młodzież nauczyła się do świetlicy przychodzić, zaczęła się uczyć piosenek, rosły w niej ambicje kulturalne i artystyczne. Dobra młodzież, trzeba ją było tylko trochę ruszyć — i tę z ZMP i tę z SP. W lutym młodzież ta odniosła drugi sukces. Komenda Wojewódzka SP ufundowała organizacji jasienickiej w nagrodę za ofiarną pracę społeczną cztery instrumenty muzyczne. Uroczystość wręczenia nagród odbyła się w Domu Ludowym i na uroczystość tę junacy nauczyli się śpiewać i tańczyć. Powstały zespoły amatorskie, które niebawem zaczęły promieniować na sąsiednie gminy. Robota poszła na całego.

W robocie tej wyróżniło się dwóch ludzi. Obrany w styczniu przewodniczący Zarządu Gminnego ZMP, Pawlicki, oraz dusza i kierownik zespołów tanecznego i śpiewaczego w Jasienicy, Zdzisław Piotrowski.

O tych dwóch ludziach chciałbym właśnie opowiedzieć, ich losy bowiem tłumaczą lepiej niż wszystko inne ten nagły skok w rozwoju kulturalnym młodzieży jasienickiej, który doprowadził do założenia w gromadzie świetlicy wzorcowej. Nie przyszło to bowiem przypadkowo: narastało w ludziach latami.

1.

Dziad Pawlickiego wyemigrował jeszcze przed pierwszą wojną światową do Niemiec, do Westfalii. Gdy ojciec Pawlickiego dorósł, poszedł pracować do kopalni, gdy zaś wybuchła wojna, ruszył na front. Po powrocie okazało się, że jest w trzydziestu procentach inwalidą. Republika weimarska nie była łaskawą wypłacać mu renty, a jako Polak stale był dyskryminowany przez kapitalistycznych pracodawców. To zbliżyło go jeszcze bardziej do towarzyszy niemieckich i w r. 1926 wstąpił do Komunistycznej Partii Niemiec.

W atmosferze takiego domu wzrastał młody Pawlicki. I w atmosferze takiego domu zachował w czasie terroru hitlerowskiego swoją godność narodową. Być bowiem komunistą niemieckim znaczyło dla Pawlickich: pozostać Polakami.

Nastał **rok 1945.** Do Wanne Eichel koło Dortmundu przybyli Amerykanie. Wprawdzie jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności wypłacono ojcu zaległą jeszcze z czasów republiki weimarskiej rentę, ale z wyjazdem do Polski było gorzej. Czepiano się wszelkich pozorów, aby ich tylko zatrzymać.

Rok 1946. Młody Pawlicki wstępuje do FDJ. zaczyna się ostra walka polityczna z faworyzowaną przez Amerykanów, reakcyjną młodzieżą z CDU. Wprawdzie FDJ jest organizacją legalną, lecz coraz częściej, wobec wielorakich form terroru, musi się uciekać do konspiracyjnych metod działania. Pawlicki pracuje w dzień zarobkowo, w nocy prowadzi robotę polityczną.

Rok 1947. Pawlicki zostaje przewodniczącym miejskiej organizacji FDJ w Wanne Eichel. O powrocie do Polski w dalszym ciągu nie ma mowy — Amerykanie nie puszczają. Terroryzują za to coraz bardziej. Wydarza się następująca historia:

Ojca Pawlickiego napada o zmroku czterech umundurowanych członków amerykańskiej MP, w tym jeden w stopniu porucznika. Wszyscy czterej są narodowości niemieckiej, byli hitlerowcy. Ów porucznik zaś, to dobry znajomy z dawnych czasów, gestapowiec, obersturmführer SS, Schaefer, przyjęty jeszcze w 1945 roku do Military Police. Stary Pawlicki wychodzi z opresji ciężko ranny, przebywa w szpitalu sześć tygodni, po czym opuszcza szpital jako osiemdziesięciopięcioprocentowy inwalida. Na rozprawie sądowej porucznik MP Schaefer dostaje sześć tygodni więzienia z zaliczeniem aresztu śledczego i wraca z powrotem do „służby".

Rok 1948. Terror wzmaga się. Młody Pawlicki zostaje w styczniu i w lutym wezwany na przesłuchanie do amerykańskiej policji politycznej. Nie załamuje się, dalej prowadzi robotę polityczną. Tymczasem nadchodzi wreszcie oddawna oczekiwane pozwolenie na transport do Polski. Powstaje nowa trudność. Pawlickiego „proszą" na ponowne przesłuchanie na dzień 17 maja. Wiedząc, czym to pachnie, uprzedza wypadki i, nielegalnie, transportem z Bochum, w dniu 3 maja wyjeżdża do Polski. Udaje się najpierw do rodziny, do Poznania, po czym jedzie do Szczecina.

Rodzice, wróciwszy do kraju opowiadają mu, że w drugiej połowie maja zgłosiły się do mieszkania Pawlickiego jakieś zakonnice z podpisanym przez władze amerykańskie nakazem zabrania chłopaka do prowadzonego przez nie zakładu poprawczego.

Rok 1950. Ojciec i syn osiedlają się w Jasienicy i pracują w Szczecinie w Centrali Przemysłu Mięsnego. Ojciec na kierowniczym stanowisku w przetwórni Nr 57, syn w przetwórni Nr 58.

Rok 1951. Ojciec zostaje wybrany sekretarzem swojej Podstawowej Organizacji Partyjnej.

Rok 1952. Syn zostaje wybrany na przewodniczącego Zarządu Gminnego ZMP w Jasienicy. Powstanie świetlicy wzorcowej jest w dużej mierze jego osobistą zasługą. Bierze czynny udział w pracach zespołów artystycznych. Widziałem go jak wieczorem, smukły i zwinny ćwiczył krakowiaka przed akademią pierwszomajową.

2.

Zespół ten prowadzi osiemnastoletni Zdzisław Piotrowski. Przyjrzyjmy się z kolei jego życiorysowi.

Rok 1934 — to data urodzenia. Piotrowski urodził się jako syn warszawskiego murarza, w rodzinie nieuświadomionej, bigoteryjnej.

Rok 1935. — Rodzice postanawiają, że syn zostanie księdzem. Jednorocznego zaledwie chłopca oddają z domu, do zakładu prowadzonego w Ciechocinku przez jakieś zakonnice. Tam ma wzrastać i tą atmosferą nasiąkać.

Rok 1939. Ojciec Piotrowskiego dostaje się do niewoli niemieckiej, gdzie po pewnym czasie umiera. Zakonnice z Ciechocinka przestają się interesować ,wychowankiem", za którego nikt nie płaci i odsyłają go do matki. Matka - bigotka, dowiedziawszy się o śmierci męża, znajduje sobie „kogoś" (tego „kogoś" nazywa Piotrowski z ironią „ojczulkiem"), syna zaś, ponieważ jest zawadą, oddaje do ciotki, do Garwolina, aby pasał krowy. Tak mija okupacja.

Rok 1945. „Ojczulek" zwęszył, że na zachodzie można zrobić dobry interes. Wyjeżdża do Szczecina i otrzymuje gospodarstwo rolne w Skolwinie..

Rok 1947. Jest do zrobienia świetny interes. „Ojczulek" zdobył skądś poniemieckie pianino. Trzeba więc było uzyskać świadectwo, że syn uczy się grać na pianinie, aby otrzymać zezwolenie na kupno. Posyłają więc Piotrowskiego na prywatne lekcje muzyki. Chłopiec zapala się do tego, czuje, że muzyka jest jego żywiołem, chciałby się uczyć dalej. Ale nic z tego. Po dwóch miesiącach pianino zostaje sprzedane po cenie „rynkowej". Interes się udał; w sercu chłopaka pozostał głęboki żal.

Rok 1948. Piotrowski nie może wytrzymać stosunków panujących „w domu". Idzie na własny chleb. Zaczyna pracować w „Ruchu", jako kolporter. Tam opiekuje się nim Rada Zakładowa. Chłopak zaczyna chodzić do szkoły wieczorowej. Skończył 8 klas. Tęskni do muzyki, ale na uczęszczanie na lekcje z braku czasu nie może sobie pozwolić.

Rok 1951. Piotrowski uczy się dalej. Kończy kurs szoferski. Zaczyna pracować w Bazie Portowej i uczy się tokarki. Ale to wszystko mu nie wystarcza. W nowych warunkach, wychowywany przez klasę robotniczą Polski Ludowej, odczuwa wzrastającą radość życia, pragnie wszechstronnie wykorzystać swoje zdolności.

Mieszka w Jasienicy i dojeżdża do pracy.

Rok 1952. W Jasienicy powstają zespoły artystyczne. Piotrowski może nareszcie, w ramach ludowego ruchu amatorskiego rozwinąć swoje muzyczne zdolności. Staje na czele zespołu śpiewaczego i tanecznego. Pracuje intensywnie, z powagą, każde zajęcie jest dla niego głębokim przeżyciem. Ten młody, osiemnastoletni chłopak staje się znakomitym wychowawcą swoich rówieśników.

Znajduje drogę do organizacji ZMP-owskiej, od kilku tygodni jest już jej członkiem.

3.

Dlaczego zatrzymałem się dłużej na tych dwóch życiorysach? Czyż urzekła mnie ich dramatyczność? Bezwątpienia, to także. Przede wszystkim jednak wydaje mi się, że w tych dwóch, tak różnych od siebie kolejach losu, kryje się jakaś zasadnicza prawda naszego dzisiejszego życia. Faktem jest bowiem niewątpliwie, że losy — tak, powtarzam, odmienne — Pawlickiego i Piotrowskiego, zawęźliły się we wspólnej robocie świetlicowej. Awans polityczny, życiowy, ludzki ich obu stał się jednocześnie ich awansem kulturalnym. Nie tylko ich zresztą.

Jasienica jest wsią awansu ludzi, awansu młodzieży. Młodzież, pracująca w nowootwartej świetlicy, to w dziewięćdziesięciu procentach dzieci chłopskie. Jest to jednocześnie młodzież, która przez możliwości aktywności społecznej, jakie dało jej Państwo Ludowe, przez możliwość kształcenia się, ma możność promieniowania poza swoją wieś. Ba, wielu młodych aktywistów z tej Jasienicy właśnie jest dzisiaj we władzach powiatowych ZMP i SP. Jakaś drapieżna, a jednocześnie świadoma ekspansja tej młodzieży rośnie z miesiąca na miesiąc. Rośnie jej zdrowa ambicja jej pęd do wiedzy, do nauki, do działalności kulturalnej, do gospodarowania na swoim — w Polsce. Nie tylko w Jasiennicy, nie tylko w powiecie.

I właśnie na tle takiej sytuacji ogólnej mogły się dwa tak do siebie niepodobne życiorysy zawęźlić w jednej, wspólnej robocie na odcinku kulturalnym. Dalej już te życiorysy będą biegły równolegle.

Na jeszcze jedną sprawę, na zakończenie, chciałbym zwrócić uwagę. Obserwowałem zespoły przy pracy, na próbach. Uderzyła mnie niezwykła prawość, niezwykła czystość roboczej atmosfery. Praca jest zespołowa, nie ma żadnego gniazdostwa, wszyscy czują się odpowiedzialni za kolektyw. Nie jest to zwykła rozrywka po pracy — jest to coś więcej: forma pracy samokształceniowej.

Tutaj, wydaje mi się, życiorysy Pawlickiego i Piotrowskiego znowu się zawęźlają. A nie jest to ich węzeł osobisty. To węzeł, który coraz mocniej wiąże wszystkich Polaków.

Witold Wirpsza

Gazetka gminna

Zagadka

Rozwiązcie taką zagadkę. Do sklepu gminnej spółdzielni w Lasocinie należy kolonia Linów. W tym Linowie siedzi na 10 ha matka z synem a to powiat opatowski, ziemie urodzajne. Synów jest właściwie czterech. Najstarszy żonaty, w mieście. Średni gospodarzy, dwóch najmłodszych w liceum. Wróćmy do tych 10 ha. Średni syn sierdzi się, bo w Komitecie Członkowskim GS-u powiedzieli „że szkoda mu się pisać na przychodzące towary, ma duży obszar ziemi i może kupić sobie gdzie indziej".

Więc... kułak a Komitet stoi na stanowisku klasowym?

Bądź tu mądry, kiedy w Janowie, który należy do tej samej gminy wychodzi inne szydło z worka. Tu jest filia a miejscowy Komitet Członkowski „przyjął zasadę dzielenia towarów mnie, tobie, sobie i wszystkim równo"... „Dzieli się jednakowo, tyle temu co ma 9 ha i dwie osoby w rodzinie i tyle samo temu, co ma 2 ha i 7 osób".

Ta „demokracja" została na zebraniu gromadzkim 3 lutego br. rozpatrzona szczegółowiej. Zarząd musiał odczytać listę komu ile przydzielił. Okazało się wówczas, że „równość" różnych klas to parawan dla uprawiania krzyczącej nierówności. Biedna wdowa z czworgiem dzieci otrzymała nie tylko nie równo ale o połowę mniej od takiego, który ma dwie osoby w domu i zatrudnia służącego a na dodatek figuruje w zarządzie koła ZSCh. Prezes koła chciał być Salomonem. Temu towar, kto wyrówna składki — oto rozwiązanie! Ale gromada przeprowadziła głosowanie i wybrała kilku nowych członków, protokół sporządzono i przesłano do gminnego prezesa ZSCh, czyli do Lasocina. A tu nie zgodzono się na zmianę Komitetu w Janowie, choć już w jesieni gromada składała prośbę o zmianę Komitetu. Wtedy prośbę przemilczano a teraz powiedziano — nie!

Co sądzić o gminnym ZSCh? Janusowe ma oblicze.

Zenon Cichoń

Foto CAF

Kłopoty hodowców

— Mogłem odstawić 2 świniaki w marcu a trzeci w kwietniu i już bym się z obowiązku wywiązał. Tłumaczyłem też tak i prosiłem o ten termin odstawy jako, że pilne są świnie wiosną dla państwa. A oni w GS-ie nakreślili mi taki plan: dasz 2 świnie w marcu a trzecią we... wrześniu. Znakiem tego muszę dać cztery — opowiadał z humorem małorolny Barcikowski z Przybysławia. W przedziale siedzieli sami chłopi bydgoscy. Jechaliśmy do Torunia.

— U mnie inna bieda — podjął Kamiński z Biskupic. — W r. 1938 pobudowałem sobie na moim 4 ha gospodarstwie dużą szopę. Po huraganie. Sąsiedzi się dziwili, na co mi taka duża? Duża przed wiatrem lepiej się ostoi. A w obecnym czasie okazuje się już za mała. 7 świń w niej uchowam, więcej nie pomieszczę, a mógłbym 10, bo z ziemi je wyżywię.

— To je chowajcie w różnych terminach — odezwał się trzeci chłop, Bogdanowicz z Morzyszyna — a pomieszczą się w szopie. Gorsza sprawa, kiedy nie ma czym świnie tuczyć, a jeszcze gorsza, kiedy miałbyś a sprzed nosa ci sprzątną. Tak mnie się zdarzyło. Też małorolny jestem. W 1950 r. kontraktowałem 2 sztuki, w 51 r. — 4, w tym roku już odstawiłem 3 a mam zamiar zakontraktować jeszcze 8. Ale mi plan psuje nasza spółdzielnia gminna w Ruszkowie. Od nas do spółdzielni 7 klm. Przy zły otręby. Nie zawiadomili gromad, tylko hajda między miejscowych i tych co się nawinęli, albo naprzód już wiedzieli. Kiedy pytałem zastępcę prezesa, ten mi powiada, że nie jego obowiązek zawiadamiać gromady; kto pierwszy ten lepszy. Warto by podać o tym do gazety. Chcemy mieć taką spółdzielnię, co będzie się opiekować hodowlą w gminie i pomagać małorolnym.

Józef Dużolepszy

Zwalczy kumoterstwo

W powiecie Złotoryja (gm. Zagrodno) jest wieś Osetnica. We wsi filia GS (Nr 7), w sklepie zła sklepowa. Dlaczego zła? Na to pytanie odpowiada partyjny chłop z Osetnicy. Odpowiada bardzo znamiennie. Zło nie kończy się na sklepowej i dlatego trwa. Autor listu zarysowuje trzy siły: filię (sklepowa) — GRN i GS — oraz gromadę mało i średniorolnych i robotników PGR-u. W jakich powstają te siły związkach i konfliktach? Chłopi przynoszą do sklepu jaja. Sklepowa przyjmuje je „za wielką prośbą, bo jej się to nie opłaca, ma grosze od jaja"! Kiedy chłopi mają siew sklepowa „odwozi do GS drożdże aby ludzie szli sześć kilometrów do miasta, kiedy tak ważna akcja siewna". Materiały sklepowa tak odmierza, że brak na metrze po 7 cm. Od agentki sklepowa kupuje swetry za cukier, który winna wydać pracownikom PGR czy innych zakładów pracy. Gdy ma jechać do GS-u po materiał zapowiada „koleżankom". W sklepie kobietom ciężarnym każe czekać w kolejce ale „koleżankom" daje ponad głowami oczekujących. Klnie i wymyśla ordynarnie starym ludziom.

Dość — powiedziała gromada i złożyła z podpisami petycję do GRN-u i GS-u, żądając usunięcia sklepowej i na jej miejsce powołania innej, której mąż służy w Wojsku Polskim, a ona jest bez pracy. Pismo na szczeblu gminnym zginęło. Na ustne petycje „władze odpowiadają — my tam do was przyjedziemy i tak jadą już okrągły rok". Co to znaczy? Znaczy to, że „między ojcem sklepowej a tymi w gminie trwa kumoterstwo nierozerwalne". „Czy my członkowie partii mamy na to patrzeć i bagatelizować sobie? Nie! Żeby zwalczyć kradzież i nieuczciwość w filii trzeba sięgnąć wyżej. A kumoterstwo moim zdaniem jeszcze zwalczyć możemy".

Edward Molenda

Nie na darmo czytają

Pisze młody ZMP-owiec z PGR-u Pakosław (pow. Iłża). Wstęp listu kłóci się z dalszym jego ciągiem. Dalej bowiem dowiemy się o sprawach niedobrych. To skłócenie jest jednak pozorne. Bo o czym donosi wstęp? Na 45 mieszkańców PGR-u 39-ciu prenumeruje „Sztandar Młodych", 9-ciu „Robotnika Rolnego", poza tym u wielu jest „Przyjaźń", „Gromada", „Nowa Wieś", „Przyjaciółka", „Rolnik". W każdym domu dwie a nawet trzy gazety. Co to znaczy? Pracownicy zespołu pegerowskiego mają kulturę, łakną jej, zdobywają! Z kręgu takich ludzi pochodzi list młodego ZMP-owca. List krytyczny. Ale patrzcie, jaka to bogata, mądra i socjalistyczna krytyka. Idzie o kierownika PGR-u. „Ważna to figura a nie ma pojęcia o gospodarce socjalistycznej. Chodzą słuchy, że był jaśnie panem, czy coś takiego. Żyje dobrze z tymi, którzy mu czapkują. Na innych patrzy z góry. Zetempówki wyzwał od dworskich dziwek. Płoty się walą, w szopie, gdzie stoją krowy nadzielonych, brak okienek, siano ginie — a pan kierownik tego nie widzi. Narady produkcyjne nie odbywają się. Nie robi się kolektywnie planu robót, nie podnosi poziomu politycznego. Pan kierownik Nowakowski stoi ponad nami, nie ma zaufania do nas, do naszej wiedzy i chęci podniesienia pracy. Boi się jak ognia krytyki i nie dopuszcza abyśmy chłopi poczuli się współgospodarzami. Dla świetlicy nie ma opału, kierownik w ogóle nie wie, co to świetlica, bywa w niej raz na miesiąc gościem, kiedy odbywa się odczyt TWP. Tyle dla oka. A myśmy wystawiali sztukę „W czasie burzy", akademie na każdą uroczystość, 6 wieczorków artystycznych.

Może być u nas inne życie ale trzeba kontroli i oceny pracy kierownika, która hamuje naszą pracę rolną i rozwój naszego zespołu".

Zenobiusz Kret

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12 tel 7 52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12 tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6342/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-19119

Powiatowe doświadczenie

Sprawa sięgnęła aż do PZGS w Skierniewicach. Powiatowy Zarząd Gminnych Spółdzielni otrzymał wcale bogaty obraz walki klasowej, choć odzwierciadla go jeden tylko list chłopski. Co on zawiera? Po nitce do kłębka, czyli od filii GS-u do punktu potajemnego uboju, stąd do punktów przeładunkowych (pod samą stację w w Skierniewicach) i punktów ukrywania zapasów na „pasek". A teraz w drugą stronę. Co i kto bronił filii, w której zagnieździła się melina spekulacji? Obalony został dawny sołtys po to, aby nowy „krył" filię. Członek Zarządu PZGS po libacji kumoterskiej na lustracji i zebraniu gromadzkim bronił „porządków filii" i straszył krytykujących chłopów więzieniem. We wsi wrze. Sklepowa sama wreszcie składa podanie o zwolnienie jej z pracy, „bo ma zaufanie w Ameryce, której głosu słucha przez radio" — czyli pokątny ubój, jaki uprawia jej mąż oraz okradanie sklepu, kumoterska sprzedaż i gromadzenie zapasów na handel, co jest jej dziełem — odsłania ostrze wyraźnie politycznej dywersji. A jeszcze sprawa przyszłości. Sklepowa zostawia ciepłe miejsce dla wspólników i sołtysa i pracownika GS-u (nie tylko węgla gospodarza), jako „naturalnych" następców. To wszystko zobrazował chłop z Grabiny. I na cały ten splot wrogich sił szukał pomocy w redakcji „Gromady". Ostatnie zdanie jego listu ostrzega redakcję przed interwencją w Skierniewicach, bo „z tymi znają się po cholewach".

Suma sumarum — PZGS w Skierniewicach nie wiedział i nie doceniał strategii wroga w Grabinie. W zarządzie powiatowym miał członka, który nie był jego czujnym okiem i uchem ale adwokackim językiem spekulantów z Grabin i czy tylko z jednych Grabin?

PZGS w Skierniewicach dowiedział się o tym wszystkim za pośrednictwem „Gromady". I taką wówczas nadesłał odpowiedź redakcji.

„Zarząd PZGS Samopomoc Chłopska w Skierniewicach przeprowadził dochodzenie w sprawach poruszonych w liście Waszego czytelnika. Zarzuty stawiane b. członkowi Zarządu ob. Chachule pokrywają się częściowo z prawdą. Wyjaśniamy, że ob. Chachuła odszedł z Zarządu PZGS w styczniu br.

Co do sklepowej ob. Tomczyk Sabiny i jej męża to opinia czytelnika pokrywa się z opinią naszą i miejscowych czynników. Sprawę uprawiania tajnego uboju i robienia zapasów przekazaliśmy organom MO.

Sklepowa Tomczyk zostanie zwolniona z pracy z dniem 30 kwietnia br."

Tak wyglądają — zazwyczaj — wypowiedzi PZGS-ów i w takich interwencyjnych sytuacjach — zazwyczaj — bywają wymuszone. Interwencji przynosi każdy miesiąc do licha i trochę. Każdy urzędnik po kwartalnym urzędowaniu w PZGS-ie potrafiłby już zapisać księgę „wydarzeń" ułożoną według dwu podziałów: 1 filie, GS-y — i u nas czyli piętrowo i 2) terytorialnie — według wsi i gmin.

Ale w takim razie, dlaczego to PZGS Skierniewice zachowuje się, jak „mądry Polak po szkodzie"? Bo opinia PZGS pokryła się z opinią czytelnika dopiero wówczas, gdy ten (przez „Gromadę") interweniował? Gdzie **powiatowe** doświadczenie? Gdzie przewidywania taktyki i uderzeń wroga? Gdzie kontrola i łączenie się z masami chłopskimi w gminach i na gromadach? Dlaczego to tylko chłopi pisują do gazet a działacze z PZGS — nie? Jeśli chłop (jak to pokazaliśmy) w jednym liście ukazuje rozbudowany mechanizm gospodarczej dywersji wroga — jakich to wspaniałych i pouczających rzeczy moglibyśmy się dowiedzieć z artykułów PZGS-u.

A co najważniejsze — pokażcie koledzy działacze z PZGS-ów waszą **pozytywną robotę**, wasze osiągnięcia, wasze zwycięstwa w marszu do socjalizmu, bo chłopi krytykują filie i GS-y właśnie z tej pozycji, jak pisał niedawno Palembas z Książki — „jeszcze bywa, że na stanowisko wchodzą tu ludzie, którym w obecnym ustroju i marszu do socjalizmu stanowiska te się nie należą". Pokażcie co wypracowujecie i osiągacie w zakresie zbytu i zaopatrzenia w filiach, GS-ach i PZGS-ach — tym **trzonie samopomocy chłopskiej.**

Jan Kurzołęka

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

Świadectwo przemian

Leży przede mną kilka listów młodego górnika Józefa Wolasa. Pierwszy z nich pisany we wrześniu 1948 r., następne: lipiec 1949, styczeń 1951, maj 1952. Przy pierwszej dacie miejscowość: wieś Kanoniki Małe, przy drugiej Kielce, przy trzeciej Katowice, a przy czwartej na stemplu znowu Kanoniki. Zwróćcie uwagę na daty i miejscowości. Daty wyznaczają granicę etapów rozwoju średniackiego syna, który stał się świadomym budowniczym socjalistycznego przemysłu, adresy wskazują drogę tych przemian.

A więc pomówmy o drodze rozwoju Wolasa od 13 hektarowej gospodarki ojca do świadomego budownictwa socjalizmu w kopalni. Pomówmy? A cóż my mamy tu do powiedzenia? Głos ma tylko Józef Wolas. My najwyżej pozostać możemy przy roli komentatorów, kreślących na marginesie uwagi.

*

„Wczoraj ojciec powiedział mi, że o dalszej szkole mowy nie ma. Że on też nie uczył się, a własną pracą do 13 hektarów doszedł, 4 krów i konia się dorobił, nie licząc tuczników. To wszystko ma zapisać na mnie i brata Franka. Toteż życie będziemy mieli zapewnione, a może nawet uda się hodowlę powiększyć"...

Zwróćcie uwagę, co kształtuje młodzieńcze wyobrażenia o życiu 16-letniego Józefa Wolasa we wrześniu 1948 roku, w miesiąc po pamiętnym Plenum sierpniowym KC PPR, w okresie powstawania pierwszych („niepewnych jeszcze!") spółdzielni produkcyjnych, w drugim roku planu 3-letniego, w roku coraz silniejszego podnoszenia głowy kułactwa, które jakoś nie kwapiło się, by w myśl gomułkowskich koncepcji „wrastać w socjalizm"? Elementem kształtującym jest tu to, co stanowi tzw. drugą duszę średniaka: **posiadanie.** Spójrzcie jak obfite wyliczenie zmieściło się w kilku zdaniach listu: 13 ha, 4 krowy, 1 koń — „nie licząc tuczników", których ilość „może nawet uda się powiększyć".

Ale mimo to — rozterka. Bo już w następnych zdaniach listu znajdują się takie uwagi: „Nie wiem kto tu ma rację. Bo jednak Janek Biskupski wyjeżdża do gimnazjum w Kielcach, a przecież jego także mogłaby wyżywić gospodarka, choć mają tylko 7 ha."

Coś jednak ciągnie Wolasa „na szersze wody", oj, ciągnie... Następny list pisany już w Kielcach w lipcu 1949 r. jest już dokumentem pierwszej, zwycięskiej potyczki z duszą posiadacza.

„Przyjechałem do Kielc na egzaminy. Matka i ojciec nie chcieli się zgodzić, ale ulegli"...

Nie, nie myślcie, że to już ostateczne zwycięstwo. To dopiero przerwanie pierwszej linii. Bo już w następnych zdaniach Wolas pisze: „Wytłumaczyłem im, że gimnazjum wcale nie przeszkodzi powrotowi na wieś, żeby się gospodarka nie zmarnowała..."

Decydowała więc młodzieńcza ambicja: Bo Biskupski jedzie a ja nie Ale grunt pod tę ambicję stworzyć mogła ogólna sytuacja w kraju, dzięki której Biskupski **mógł** jechać. Wiele jeszcze czasu upłynie, nim „dusza posiadacza" u Józefa Wolasa ustąpi miejsca „duszy budowniczego socjalizmu".

Gdzie w latach 1949-51 prowadziła droga znacznej części młodzieży wiejskiej? Prowadziła do przemysłu. Z następnego listu pisanego po półtorarocznej przerwie w styczniu 1951 z Katowic dowiadujemy się, że chłopak przeniósł się do szkoły górniczej i zaczął pracę w kopalni. Gdzież więc podziały się zapewnienia o powrocie na wieś, „aby gospodarka się nie zmarnowała"? Nie o 13 ha już idzie. W pierwszym roku wielkiej sześciolatki Wolas zrozumiał już, że treść życia polega nie na **własnych** hektarach, nie na 4 **własnych** krowach, **własnym** koniu, „nie licząc **własnych** tuczników", których ilość „może nawet uda się powiększyć". Rozwijająca się spółdzielczość produkcyjna wykazała, że w przyszłości jego ręce mogą być zbędne na wsi. Rozbudowujący się przemysł ukazywał niezbędność tych rąk w mieście.

I chłopak idzie do przemysłu. Ucząc się w szkole, zaczyna pracować w kopalni. Pierwsze jego wrażenia nie stanowią dowodu łatwego wciągania się i asymilacji w nowym środowisku. Pisze: „Tutaj wszystko wygląda inaczej niż czekałem. Ci, którzy znają zawód, zarabiają. Nam po odciągnięciu za internat niewiele zostaje. A jeśli chodzi o współzawodnictwo, to nie tak łatwo przekraczać normę. Mówią, że jak się nauczymy, to będziemy też mogli. Ale ja nie wierzę..."

Dlaczegóż to nie wierzy? Przecież z listu wynika, że na kopalni spotkał ludzi, którzy nie tylko wykonują normę, ale i przekraczają ją?

„Mimo to — pisze dalej nasz korespondent — zostanę tu jeszcze. Przekonam się..."

Przekonajmy się i my. Długo będziemy czekać na następny list. Kiedy przyjdzie w maju 1952 roku, w trzecim przełomowym roku 6-latki, nie dajmy się zasugerować miejscowości na datowniku. Kanoniki Małe? — Tak. Ale już w pierwszych wierszach listu zaczyna się sprawozdanie z wielkiej batalii, jaką stoczył z sobą samym autor, jaką co dzień stacza z własną przeszłością, przyzwyczajeniami, nawykami tysiące młodych chłopców, którzy w trudnościach zawodowej pracy hartują się, zmieniają, wyrastają. Józef Wolas wyrósł przez ten czas, wcale nie wiedząc, jak to się stało.

„Kiedy widziałem, że inni zaczynają przejmować się pracą, przekraczać plany, to i mnie praca nie mogła pozostać obojętna..." — Tak brzmi jedno zdanie listu. I praca nie tylko nie została obojętna. Stała się ambicją. Bo czym innym wytłumaczyć fakt, że już z końcem 1951 roku Wolas wyrabia 120 proc. normy wydobycia, a w marcu 1952 jest jednym z pierwszych, którzy dla uczczenia urodzin Prezydenta wykonują po 150 proc.?

„Powoli to wszystko zaczęło mnie interesować. I inaczej już patrzyłem na moją przeszłość, na dom."

Dodajmy od siebie, że był to okres, w którym w okolicach Kanonik zaczęły powstawać spółdzielnie produkcyjne. Listy więc z domu i do domu omawiały te zagadnienia. Przez pół roku — jak donosi Wolas — trwała ta korespondencja. „Teraz jestem na urlopie. Ojciec chyba się da skłonić, aby do spółdzielni przystąpić".

Macie jeszcze jedno zagadnienie: Klasa robotnicza rozszerza swe szeregi o ludzi rekrutujących się z mało i średniorolnych chłopów. Z kolei poprzez nich sama oddziaływa na wieś, na nowe formy produkcji, na nowe ukształtowanie psychiki pracującego chłopstwa.

W czterech listach Wolasa znajdują się najbardziej typowe zjawiska przekształcania się narodu budującego socjalizm. Niedawno o Wolasie ukazał się w gazecie reportaż — ale o tych zagadnieniach nie było tam ani słowa. W zestawieniach cyfr wykonania planów zaginął żywy człowiek. Został schemat, pod który można podkładać dowolne nazwiska. A przecież prawdziwą typowość Józefa Wolasa można pokazać tylko na przykładzie jego osobistych, indywidualnych przeżyć.

Z ostatniego choćby, pierwszomajowego przemówienia Prezydenta Bieruta wynika, że klasa robotnicza zwiększyła się w porównaniu z okresem przedwojennym o blisko 3 miliony. Skąd rekrutują się ci ludzie? Oczywiście w ogromnej swej masie ze wsi. Literatura nasza nadal ma oczy na to zjawisko zamknięte. Nie dostrzega, lub pomija milczeniem jedno ze zjawisk kształtujących nowy byt naszego narodu. A lukę tę trzeba zapełnić choćby dlatego, że pomijając tak poważne zagadnienia, fałszuje się obraz przemian, których jesteśmy świadkami i uczestnikami.

Zdzisław Polsakiewicz

ZYGMUNT STOLARSK

Przedwojenna sensacja

Każda z redakcji gazetki ściennej czy wielonakładowej skupia aktyw złożony z kilku samorodnych dziennikarzy. W każdej z nich jest niezmiennie po dwu i więcej entuzjastów tej pracy, którzy za nic by nie zaniechali jej. W „mojej" redakcji*) takim entuzjastą jest Stanisław Walicki. Jego liczne korespondencje do „Głosu Pracy" i „Dziennika Łódzkiego", do łódzkiej rozgłośni radiowej, jego aktywność w pracach Rady Zakładowej, w organizowaniu i prowadzeniu kół Wszechnicy Radiowej stworzyły mu opinię działacza społecznego, którego energia, zapał i postawa krytyczna postawiły już na nogi niejedną, zdawałoby się beznadziejną, sprawę.

Ciekawe są jego dzieje.

Urodził się w wiosce Kocina w powiecie łaskim i po ciężko zdobytych studiach został nauczycielem w powiecie sieradzkim w Gronowie, położonym o dziewięć kilometrów od wsi ojców. Młody nauczyciel, pełen marzeń i rojeń o roli wybitnej jednostki, które mu zaszczepiło przedwojenne seminarium nauczycielskie, uwziął się postawić swój Gronów na wyżynach kulturalnych.

Do młodzieńczej głowy nie dotarła ani na chwilę świadomość, że jest to w warunkach ustroju burżuazyjnego niemożliwe. Marzył o stworzeniu czegoś w rodzaju Liskowa, koniecznie jednak bez udziału księdza. Już bowiem w owych latach był ateistą, czytującym stale „Wolnomyśliciela" i noszącym w sobie niechęć do bigotów i kleru, choć bał się ją za bardzo uzewnętrzniać Jakżeż — wiejski nauczyciel!

Chciał zacząć wielkie reformy od rozpowszechnienia czytelnictwa, od „zaszczepiania w chłopie nałogu czytania" — jak sam to nazywa. A więc za cześć pensji nauczycielskiej kupował i prenumerował kilkanaście gazet, które rozsyłał łańcuszkiem od gospodarza do gospodarza. Równocześnie bardzo starannie prowadził kronikę szkolną, która miała być niejako rejestrem przemian kulturalnych, dokonujących się na wsi pod wpływem szkoły.

O swojej kronice pisze artykuł do miesięcznika nauczycielskiego „Praca Szkolna" w 1931 r. i otrzymuje honorarium. Za te pierwsze wierszówki kupił sobie garnitur, w którym paradował przez osiem lat i poprzysiągł sobie pisać. Do prowadzenia kroniki wciąga młodzież szkolną. Odkrywa „talenty", prowadzi korespondencję z wychowankami, którzy wyszli już ze szkoły z Gronowa i „na szerokim świecie" wkraczali w życie społeczne.

Gronów wciąż jednak zostawał Gronowem, choć w ustępach chłopskich wisiały pliki pociętych gazet pana nauczyciela.

W roku 1937 postanawia wydawać codzienną gazetę dla swej wsi przy pomocy uczniów. Nierealne? — Nie znacie energii i nieustępliwości kolegi Walickiego. Gazeta ukazuje się i wychodzi regularnie. Ma nazwę „Kurier Gronowski".

Redaktor rozpoczyna popularyzację swego przedsięwzięcia w celu zyskania protektorów i opiekunów i część z ogólnego nakładu tysiąca egzemplarzy rozsyła do niektórych redakcyj. Pismem zainteresowała się jedna gazeta, potem druga i oto w całej prasie w latach 1937 — 1939 jest głośno o Gronowie. Piszą o nim: „Głos Poranny", „Polityka", „Kurier Poranny", „Kurier Warszawski", „Wieś Polska", „Rolnik Polski", „Echo Sieradzkie".

Czyżby „wyżyny kulturalne" zostały zdobyte? Czy znikły walące się opłotki, zaprzestano waśni o miedze, czy skończyła się emigracja ze wsi za chlebem, czy „talenty" gazety gronowskiej rozpoczęły przełom w życiu wsi? Nie. Opiekunowie wypatrzyli o wiele poważniejszy brak w Gronowie, gdzie sensacja sensacją, ale że chłopi współredagują gazetkę, brak podstawowy — to brak plebanii. Zmobilizowano akcję wśród kułaków i tercjarek i choć była ona nie po myśli Walickiego, bardzo nie po myśli, musiał wszakże podjąć tę oddolną inicjatywę w swym „Kurjerze" w sprawie utworzenia własnej parafii.

Jest charakterystyczne, jak szybko i z jak wielką pompą rozniosły gazety sanacyjne na całą Polskę wieść o istnieniu w zapadłej wsi — codziennego pisma. Chodziło o wiele rzeczy: i o pokazanie wysokiej kultury tkwiącej w „czysto polskim" ludzie, i o „rozrobienie" tematu: „Wybitna jednostka a naród"**), o wszystko, tylko nie o to, żeby wykazać, jak w półfeudalnej wsi bezpłodna, bezskuteczna jest wszelka inicjatywa wszelkich zapaleńców.

„Kurier Gronowski" zyskuje fundatorów i opiekunów. Po 5 zł miesięcznie przysyła były właściciel Gronowa i zaiste cena ta warta jest opinii „dobrego starego dziedzica", jaką przez to chce kupić. Niektóre przedsiębiorstwa przysyłają papier powielaczowy, farby, a nawet papier korespondencyjny z nadrukiem: „Redakcja „Kuriera Gronowskiego" — założyciel i redaktor Stanisław Walicki". Któraś drukarnia poznańska nadsyła transport papieru na kilka nakładów z winietą tytułową wydrukowaną na pierwszej stronie.

W odpowiedzi na podania, prośby i podzięki Walickiego przychodzą listy zaczynające się od słów: **„Jako czysto polska firma z przyjemnością powitaliśmy cenną inicjatywę JWPana...".**

Na tym jednak kończą się sukcesy „Kuriera". W Gronowie zostało wszystko po staremu.

Oddajmy głos samemu Walickiemu: „Gdy wspominam swą przedwojenną działalność społeczną rzuca mi się w oczy olbrzymia dysproporcja między włożonym wysiłkiem a wynikami.

Pracowałem, aby moi bracia — chłopi — żyli kulturalnie, pragnąłem dla nich dobrobytu, a widziałem wokół siebie prymityw, zacofanie i nędzę.

Myślałem, że moja praca podźwignie wieś, rzucałem się z motyką na słońce, bo nie byłem w pełni świadom rzeczy zasadniczej, tak dzisiaj oczywistej dla każdego człowieka: że w ustroju kapitalistycznym człowiek pracy lub mały posiadacz ziemi nigdy nigdzie nie będzie dopuszczony do życia kulturalnego i wygodnego, bo gdyby było dobrze masom, źle byłoby kapitalistom.

Swoim uczniom pragnąłem dać dobry zawód, a musiałem ich wysyłać po chleb za granicę, pragnąłem dla nich wysokiej oświaty, a nie zdołałem wysłać do gimnazjum ani jednego dziecka.

Czego pragnąłem, a nie dokonałem przed wojną, stało się w Polsce Ludowej: kilku moich uczniów skończyło szkołę średnią, a troje z nich wstąpiło do zawodu nauczycielskiego, przy czym moja uczennica uczy w szkole, z której sama wyszła i której ja oddałem dwanaście lat pracy.

Było przed wojną blisko milion dzieci w wieku szkolnym nie objętych nauczaniem... i było 10.000 nauczycieli bez pracy. Oto jedna ze sprzeczności kapitalistycznych hamujących rozwój kulturalny ludu polskiego.

Moje przedsięwzięcie — „Kurier Gronowski" — opierało swój byt materialny na ofiarności jednostek i dlatego po trosze uzależniało się od ofiarodawców. Dzisiaj byłoby inaczej. Dzisiaj spółdzielnia produkcyjna, PGR czy GRN znalazłyby w budżecie fundusze na wyposażenie swego organu prasowego.

Po wojnie przeniosłem się do miasta, zmieniłem zawód.

Stałem się korespondentem już wtedy, gdy jeszcze nie mówiło się o ruchu korespondentów. Wysyłałem listy do redakcji pism, np. do „Rzeczypospolitej", aby Warszawa była miejscem konferencji pokojowej (było o tym głośno w prasie).

Raz wezwano mnie do redakcji „Dziennika Łódzkiego" i zaproponowano, abym został ich korespondentem. Zgodziłem się. Później zacząłem pisywać również do „Głosu Pracy" i Polskiego Radia. Kilka razy przyznano mi nagrody książkowe, raz pieniężną. Piszę wiele do gazetki zakładowej".

Zygmunt Stolarski

*) „Czcionka", wielonakładowa gazetka załogi Zakładów Graficznych „Książka i Wiedza".

**) „Polityka" omówiła działalność Walickiego w artykule pod znamiennym tytułem: „Upadek autorytetów na wsi".